



3
nadzieja
wbrew
wadze (3)



5
rezerwa
uczuc



6
szal
nieb eskich
c. at



8
Łomża
40 lat minęło



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY I PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

38

(206)

KONTAKTY
23 IX 1984

cena
10 zł



REDUTA RAGINISA

Bój pod Wizną zalicza się — wraz z obroną Westerplatte, Kocka, Modlina, Kutna i Warszawy — do najbardziej bohaterskich we wrześniu 1939 roku; 720 oficerów, podoficerów i szeregowców, 28 ciężkich i 18 ręcznych karabinów maszynowych oraz 2 rusznice przeciwpancerne, walczyło przeciwko dwóm dywizjom, dywizji piechoty zmotoryzowanej i brygadzie fortecznej. Jan Berliński, dziś rencista zamieszkały w Warszawie, był wówczas — jako kapral radiotelegrafista — jednym z nich.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Adam Jerzy Socha

jedwabne

życie

„Zaczyna się od zniżenia poziomu wykształcenia, wiedzy, talentów. Nie trzeba wykształcenia, dość już wiedzy.”
(Fiodor Dostojewski: „Biesy”)

u nas niedobre ludzie?

— Radzę panu życzyć, z dobrego serca, niech pan to zostawi. Inaczej zniszczą pana. Bo pan chce odkryć prawdę, a tutaj nikt nie chce tej prawdy znać. Prawda jest zniechędzona, a każdy, kto będzie chciał ją odkryć, też będzie zniechędzony. Pan chce rozzerwać ogniwo potężnego łańcucha. Ten łańcuch sięga bardzo wysoko. Zmiażdżą pana, żeby ratować własną skórę. To się załatwia w prosty sposób — telefon: „Znajdź coś na niego...” Nic pan nie zmieni, bo im właśnie taka szkoła jest potrzebna.

Tę przestrozę usłyszałem wówczas, gdy pewna anegdota, opowiedziana przez absolwenta Liceum Ogólnokształcącego w Jedwabnem, zaprowadziła mnie w czerwcu 1984 r., w porze matur, w jego progi. Nagle to, co wydawało się fantastyczną historią, zaczęło przybierać realne kształty. O istnieniu szkoły średniej w tym — liczącym 2000 mieszkańców — ni to wsi, ni to miasteczku, oddalonym zaledwie o 20 kilometrów od wojewódzkiej Łomży, nie miałem zielonego pojęcia. „Wielka encyklopedia powszechna” jako jedyną rzeczą godną odnotowania z historii miasta podaje: „W okresie okupacji hitlerowcy zamordowali w J. ok. 1640 osób”. „Encyklopedia” przemilcza to, o czym wie każde dziecko w okolicy, że wielu mieszkańców Jedwabnego było nie tylko świadkami rzezi Żydów. Czy to dlatego na zarośniętym cmentarzu (który zdradza wielkie przywiązanie jedwabniaków do życia doczesnego) spotyka się nagrobki z napisem: „Boże, nie bądź surowym sędzią”. Czy ten „grzech” któregoś opis zaćmiłby „Apokalipsę”, sprawia, że obywateli tej osady prywatnych domów i willi, podstawionych w większości za dolary zarobione u „wujka Sama”

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

W NASTĘPNYM NUMERZE: wyniki konkursu na reportaż „Co wierzyć?” ▲ „Jedwabne życie” — cd. ▲ „Prywatność bohatera reportażu”, czyli reporter w gąszczu prawa ▲ „Poczet generalski” ▲ kolejny odcinek nieznannej historii Łomży.



NA UROCZYSTEJ SESJI Miejskiej Rady Narodowej i Rady Miejskiej PRON, z udziałem władz społeczno-politycznych województwa oraz honorowych gości: Michaiła Sorokina, sekretarza Rady Weteranów Wojny 385 dywizji Armii Radzieckiej (który przed 40 laty jako saper wywalał Łomżę), Henryki Zeglickiej, żony pierwszego powojennego starosty łomżyńskiego, i dwuosobowej reprezentacji załogi statku M/S „Łomża”: por. por. marynarki Sławomira Szymańskiego i Romana Chęcia, podsumowano powojenną historię miasta.

Najbardziej zasłużeńi w czterdziestolecie obywatele miasta uhonorowani zostali najwyższymi odznaczeniami państwowymi: Zygmunt Kowalewski — Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Stanisław Piotrowski — Złotym Krzyżem Zasługi, Janina Dąbrowska, Celina Kolasinska, Krystyna Młynarczyk i Władysława Trepanowska — Srebrnymi Krzyżami Zasługi, Józefa Leszczuk i Anna Tatona — Brązowymi. Odznaką „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego” wyróżniono: Łomżyński Hufiec ZHP im. Obrońców Wizny, Fabrykę Aparatury i Urządzeń Komunalnych, POM, Oddział Łomżyński Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, statek M/S „Łomża”. Ponadto 49 mieszkańców miasta uhonorowano Medalem 40-lecia Polski Ludowej, a 14 — odznaką „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego”. Goście otrzymali honorowe obywatelstwo miasta Łomży.

OCENA inspiratorskiej roli instancji i organizacji partyjnych w skutecznym i efektywnym wdrażaniu zasad reformy gospodarczej była tematem posiedzenia plenarnego KW PZPR w Łomży. Obrady poprzedziło wręczenie odznaczeń państwowych zasłużonym członkom PZPR. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał Miechysław Górski, były sekretarz KW PZPR; Srebrne Krzyże Zasługi — Tadeusz Dziłkowski, członek Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej i Sławomir Glinka, członek Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej; Medal 40-lecia PRL — Krystyna Kostro, członek Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej.

Uczestnicy omawiali m.in. zagadnienia: zakładowe systemy motywacyjne, uświadamianie załógom zasad i konieczności wprowadzenia reformy gospodarczej, działalność samorządów i związków zawodowych, zaopatrzenie w surowce, metody organizacji i zarządzania, podnoszenie kwalifikacji zawodowych, adaptacja i integracja załogi, uczestnictwo młodzieży w życiu zakładów pracy.

Po zakończeniu obrad minister Władysław Baka spotkał się z aktywnym społeczno-politycznym Łomżyńskim Zakładem Przemysłu Bawełnianego „Narew”.

NAD CZYM PRACUJĄ terenowe organizacje partyjne? Odpowiadają i sekretarze.

● **KMG PZPR w Ciechanowcu:** — Tematem posiedzenia plenarnego była rola samorządu mieszkańców i rad sołeckich w realizacji zadań społeczno-gospodarczego rozwoju miasta i gminy. Egzekutywa oceniła pracę SKR-u podczas akcji żniwnej oraz omówiła rolę lecznicy weterynaryjnej w podnoszeniu pogłowia bydła i trzody chlewnej. Najbliższe posiedzenie poświęćmy czynom społecznym w mieście i gminie, zwłaszcza na rzecz oświaty.

● **KG PZPR w Grabowie:** — Egzekutywa oceniła realizację uchwały KG PZPR ze stycznia br., dotyczącej funkcjonowania handlu. Tematem posiedzenia plenarnego będą dotychczasowe wyniki wdrażania programów: oszczędnościowego i antyinflacyjnego.

● **KG PZPR w Szepietowie:** — Na posiedzeniu Egzekutywy przyjęliśmy materiały na plenum poświęcone pracy Gminnego Ośrodka Kultury oraz jego roli w życiu kulturalno-oświatowym gminy. Zapoznaliśmy się także z informacją o działalności ZSMP i ZMW; oceniliśmy akcję lato '84.

● **KG PZPR w Piątnicy:** — Pracujemy nad oceną możliwości rozwoju sił partii w środowisku wiejskim i zakładach pracy oraz nad przygotowaniem wyborów sołtysów i samorządów wsi. Posiedzenie plenarne poświęćmy rozwojowi hodowli i jej perspektywom, ocenimy zaawansowanie prac inwestycyjnych. Najpilniejsza sprawa do załatwienia to cegły do budowy przedszkola.

JEDENAŚCIE ZESPOŁÓW specjalistycznych Główniej Inspekcji Terenowej penetruje województwo łomżyńskie kontrolując m.in. funkcjonowanie i sprawność zarządzania terenowych ogniw administracji państwowej, gospodarkę komunalną i mieszkaniową, komunikację i transport, budownictwo i inwestycje towarzyszące, handel i usługi, oświatę i wychowanie oraz kulturę i sztukę, kulturę fizyczną, sport i turystykę, stan sanitarno-epidemiologiczny, służbę zdrowia i opiekę społeczną, ochronę środowiska naturalnego, zabezpieczenie mienia i ochronę ppoż. Wyniki kontroli ogłoszone zostaną w późniejszym terminie.

APELEM o zachowanie pokoju oraz wiankami kwiatów, złożonymi na grobach i w miejscach poświęconym obrońcom Ziemi Łomżyńskiej we wrześniu 1939 roku i wyzwolicielom miasta we wrześniu 1944 roku, uczczono 45 rocznicę najazdu hitlerowskiego i 40 rocznicę wyzwolenia spod okupacji.

Muzyka, pieśni i tańce w wykonaniu znakomitych kapel podwórkowych z Ostrołęki i Grajewa, orkiestry dętej z Kolna uświetniały obchody 40-lecia wyzwolenia Łomży. W uroczystościach brał również udział Zespół Reprezentacyjny Ludowego Wojska Polskiego, dziecięcy zespół pieśni i tańca „Radość” z Olsztyna, a także zespoły: „Rag Time Band” i „Gospels”. Na osiedlu Południe zainaugurowano też budowę największego w Łomży parku.

40 GODZIN na czterdziestolecie. Młodzieżowa akcja ZSMP, upamiętniająca powojenny dorobek Polski Ludowej, zyskuje wielu zwolenników i w województwie łomżyńskim. Oto niektóre przykłady: młodzi pracownicy w Zambrowskich

Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej przez dwie wolne soboty wypracowali 100 tysięcy złotych produkując dodatkowo 7 tysięcy metrów tkanin oraz 4 tony przędzy. W czynie społecznym porządkowali plac przyzakładowy. LZPB „Narew”: malowali ogrodzenie, porządkowali teren. W łomżyńskim POM-ie — przygotowywali teren pod ogródki działkowe. Pracownicy etatowi Zarządu Wojewódzkiego ZSMP i ZMW przygotowywali do wiecej plac i muszlę koncertową.

CZŁONKOWIE miejskich i Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej omawiali zadania wynikające z przygotowań do kampanii sprawozdawczo-wyborczej w Stronnictwie Demokratycznym.

ŁOMŻYŃSKA Spółdzielnia Mieszkaniowa o 14 złotych za metr kwadratowy podnosi z dniem 1 października br. opłatę czynszową, obowiążującą od 1977 roku. Podwyżka ta — stwierdził prezes Spółdzielni — nie jest przeznaczona na rozbudowę administracji czy służb pracowniczych, lecz pokrywa koszty eksploatacji naliczone według nowych stawek przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej (zażądało opłaty po podwyższonej cenach za 6 miesięcy wstecz) oraz Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Ponadto od 1 listopada br. rodziny zajmujące większe, niż im przysługują, mieszkania, będą płaciły nadmetraż w wysokości 600 złotych za każdą dodatkową izbę.

ŻYJE SIĘ NAM DROŻEJ niż w Białymstoku! Wywóz śmieci kosztuje w Łomży 319 złotych, u białostockich sąsiadów — 150, dzierżawa za pojemnik 110-litrowy (odpowiednio): 20 i 13,50, za pojemnik 1100-litrowy: 527 i 215. Za ogrzewanie metra kwadratowego płacimy więcej o 15 złotych, za metr sześcienny wody zimnej — o 2 złote, ciepłej — o 5,40.

PKPS UDZIELA POMOCY 14 tysiącom mieszkańców województwa. W Klubach Seniora stoje się 440 podopiecznych (w Łomży — 102 osoby, w Zambrowie i Kolnie — po 40, w Nowogrodzie — 30). Trwają przygotowania do uruchomienia takiego klubu w Szczuczynie.

W obliczu groźby cofnięcia dotacji finansowej PKPS uruchomił loterię, w której m.in.: prakki, odkurzacze, lodówki, maluchy wygrają się za... 20 złotych.

NA POLACH pozostaje jeszcze jeden procent zbóż, w tym nieskoszonych — jedna dziesiąta procenta. Sprzątnięto zboże ze 197 800 hektarów. Rolnicy indywidualni dostarczyli do magazynów 28 861 ton ziarna, gospodarstwa uspołecznione — około 3000 ton. Wapnowanie lepsze niż w roku ubiegłym.

NA 69 TYSIĄCACH hektarów wykopano już ziemniaki (22 proc. ogólnej powierzchni). W kampanii ziemniaczanej uczestniczy 366 kopaczek i 152 kombajny eskacrowe oraz 6900 kopaczek i 207 kombajnów przywrotnych.

PSS „SPOLEM” codziennie zaostrza 47-tysięczną Łomżę w 15—16 tysięcy ton pieczywa, 4—5 ton mięsa (w tym: 2 tony wędlin i toina kurczaków), 600 kilogramów twarogów, 260—300 kilogramów sera żółtego, 600—700 kilogramów masła, w 85 000 litrów mleka. Spółdzielnia ma kłopoty z zakupem serków topionych i mleka w proszku.

WZSR SPROWADZIŁ w ciągu 8 miesięcy 62 900 kg herbaty (o 10 tysięcy więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego), koncentratów i deserów — o 33 tysiące ton więcej, pieczywa cukierniczego — o 80 tysięcy ton, oleju jadalnego — o 60 tysięcy ton.

PROPOZYCJE HANDLU na sezon jesienno-zimowy; nadal brak butów gumowych dla rolników — przyznano tylko 900 par (WZSR liczy na nadwyżkę tego obuwia ze

sklepów przedsiębiorstw rolnych), tenisówek i trampkówek, wystarczające są ilości trzewików i kozaków męskich. Wystarczy okryć dla dzieci i młodzieży. Będą kłopoty z konfekcją i galanterią jesienno-zimową dla dorosłych. Sklepy — założone koszulami — odmawiają przyjęcia następnych dostaw.

WPHW w dziale konfekcji, dziewiarstwa, tekstyliów, galanterii i obuwiu ma większe dochody niż analogiczne przedsiębiorstwa w Białymstoku i Ostrołęce. Ustaliło krajowy rekord w dynamice sprzedaży: 142,8 przy średniej krajowej: 124,8. Na chłodne miesiące proponuje m.in.: kurtki z susa po 35 tysięcy złotych, z nutrii — po 60 i 54 tysiące, kożuchy z elanobawelny po 25 tysięcy złotych, z lisów po 180 tysięcy oraz damskie kożuszki krótkie po 75 tysięcy złotych. Niedostatek artykułów dziewiarskich dla dorosłych. Pełny asortyment dla dzieci w wieku od miesiąca do 15 lat.

W PIĄTEK (21 września br.) rozpoczyna w Łomży trzydniowe obrady Walne Zgromadzenie Delegatów Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Towarzyszyć mu będzie sesja naukowa poświęcona kulturze ludowej Kurpiowszczyzny oraz jej najwybitniejszemu znawcy i badaczowi — Adamowi Chętnikowi — w setną rocznicę jego urodzin. Wezmą w niej udział etnografowie i przedstawiciele nauk pokrewnych z 20 oddziałów terenowych.

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze jest jednym ze starszych na świecie. Powstało we Lwowie w 1895 roku. Pierwszym jego prezesem był Antoni Kalina, profesor filologii słowiańskiej na Uniwersytecie Lwowskim im. Jana Kazimierza. Towarzystwo do 1939 roku zyskało sympatię uczonych w kraju i za granicą. Wydawało rocznik „Lud” i nawiązywało kontakty z podobnymi towarzystwami w Europie i Ameryce. W 1945 roku zostało reaktywowane z siedzibą w Lublinie, a następnie we Wrocławiu, gdzie znajduje się jego centrala: biuro, wydawnictwo, biblioteka i archiwum. PTL zainicjowało m.in. takie serie wydawnicze, jak: „Prace i Materiały Etnograficzne”, „Prace Etnologiczne”, „Biblioteka Popularna”, „Archiwum PTL”, „Atlas Polskich Strojów Ludowych”, czasopisma: „Literatura Ludowa”, „Łódzkie Studia Etnograficzne”. Zaproponowało powtórne wydanie „Dzieł wszystkich” Oskara Kolbega.

DELEGATOM WALNEGO ZGROMADZENIA PTL ŻYCZYMY OWOJNYCH OBRAD.

rocznica w Łomży

Michaił Sorokin, sekretarz Rady Weteranów Wojny 385 dywizji Armii Radzieckiej, Peter Stojanow, przewodniczący Komitetu Miejskiego Frontu Ojczyźnianego w Widnie, Rumiana Petkowa, przewodnicząca Rady Wielekiej Ruchu Kobiet Bułgarskich okręgu Widin, Henryka Zeglicka, żona pierwszego powojennego starosty łomżyńskiego, por. por. marynarki: Sławomir Szymański i Roman Chęć ze statku MS „Łomża” (odwiedziła również naszą redakcję), Władysław Baka, minister pełnomocnik rządu do spraw reformy gospodarczej; gen. bryg. Edward Drzazga, szef Główniej Inspekcji Terenowej, Aleksander Młodzianowski, dyrektor Delegatury NIK-u w Białymstoku.

wieści gminne

KLUKOWO. Wiele zastrzeżeń wzbudziły nowe, obowiązujące od 1 lipca br., ceny na zboże. Wątpliwości mają też plantatorzy ziemniaków. W myśl obowiązujących umów 30 proc. zakontraktowanej ilości ziemniaków rolnicy powinni przechować u siebie i dostarczyć wiosną. Kontrowersje budzi wysokość wynagrodzenia za przechowanie.

● Plantatorom ziemniaków podoba się przykład cukrowni. Za dostarczone buraki dostawa otrzymuje rozliczenie i dokładnym wyszczególnieniem za co wypłacane są pieniądze. Ujęte są tam np. kwoty za transport, wysiłki, rozładunek. Dostawcy ziemniaków dopominają się, aby i w stosunku do nich stosować podobną praktykę, a nie tylko „przelewać” sumę pieniędzy na konto.

● Szykuje się kolejny spór sądowy o miedzę. W Trojanowie jeden z mieszkańców zbudował dom na miedzy, za zgodą sąsiada. Plan przewidywał zbudowanie ściany ogniotrwałej. Ale właściciel jakby o tym zapomniał, za to ozdobił ścianę gzymsem i rynną ujemną, wiając sąsiadowi do budowania bliźniaka, pozostawiając otwarte jedno progiem plotu. W ten sposób nieczystości z zagrody znalazły ujście na łakę sąsiada. Z drogi

zdanie tygodnia

— Łatwiej jest stopić górę lodową niż wprowadzić w życie reformę gospodarczą.

zasłyszane w kuluarach podczas plenium KW PZPR

myśl z czasem

„Każy stracony dzień to prawdopodobieństwo nieszczęścia w przyszłości”.

Napoleon Bonaparte

CIĄG DALSZY NA STR. 15



niech martwią się oni

Podjęcie decyzji jest zawsze złożonym procesem, na który składa się ocena aktualnej sytuacji, orientacja co do możliwych rozwiązań — z uwzględnieniem doświadczeń — i wreszcie wybór wariantu. Proces taki winien być maksymalnie uwolniony od emocji.

Myśl ta odnosi się wprawdzie do makroprocesów, ale bez większego trudu może każdy, na jednostkowych przykładach, zweryfikować jej prawdziwość.

W rozwiązywaniu spraw zbiorowości, w decydowaniu o nich, niezbędny jest szeroki udział członków tej zbiorowości, konieczna ich aktywność.

Jakże często jednak spotykamy wręcz infantylne rozumowanie: niech się oni martwią, niech oni załatwiają. W takim rozumowaniu brakuje najważniejszego elementu świadomości: że jest to postawa czysto konsumpcyjna. Inni mają rozwiązać również i moje własne sprawy.

W niezwykle gorącym okresie, kiedy racjonalizm nie był powszechną kategorią myślenia, a niebezpieczne podziały społeczne stawały się coraz głębsze, wypowiedziałem pogląd, który — w moim przekonaniu — nie utracił całkowicie swej aktualności: „[...] linia podziału nie przebiega dziś między «Solidarnością» i tymi, co poza nią, lecz między ludźmi uczciwymi, którzy za sprawę najważniejszą, nadrzędną, uważają dobro narodu i w imię narodowego interesu szukają porozumienia, a tymi, którzy takiego porozumienia po prostu nie chcą”. („Trybuna Ludu” nr 286 z 5-6 grudnia 1981 r.).

„Polskie podziały” nie są wynikiem historycznego czy politycznego fatalizmu; są one odbiciem — przeżywanych przez całe społeczeństwo i państwo — problemów rozwojowych, wyrazem postawy wobec nich. Nierzadko mają charakter stosunku emocjonalnego, a nie racjonalnego, kształtowanego bardziej przez odczucia aniżeli przez racjonalną weryfikację.

produkcenci wrogości

W czym zatem można się dopatrywać istoty pokrzyżowanych problemów i trudności? W moim przekonaniu — w tym, że ciągle znajdujemy się w fazie rozpamiętywania, a nie rzeczowej analizy; że w tym rozpamiętywaniu nie możemy się odnaleźć jako zintegrowana zbiorowość; że nie potrafimy uwzględnić wagi i hierarchii interesów zbiorowości, a myślenie w kategoriach państwa nie towarzyszy nam naszym poczynaniom. Dlatego właśnie tak chętnie doszukujemy się przyczyn polskich problemów i kłopotów bardziej (a często — wyłącznie) w zewnętrznych, a nie wewnętrznych uwarunkowaniach.

A przecież nie trzeba nam wiele. Wystarczy, że każdy będzie, w ramach społecznego podziału pracy, robił rzetelnie to, co do niego należy, aby nie trzeba było publicznie dziękować, traktując jako ewenement fakt, że ktoś zrobił to, do czego był zobowiązany. Podzielić można tylko tyle, ile się wyprodukuje — to stwierdzenie odnosi się tylko do produkcji dóbr materialnych. Produkując nieżyczliwość, czasem wrogość, tworzymy zarazem gorsze psychiczne warunki dla naszej egzystencji, mnożymy stresy, zmniejszając tym samym wydolność w sferze produkcji materialnej.

Akcentowanie świadomości państwowej nie może być odczytywane jako próba swoistej uniformizacji myślenia, ograniczenia lub osłabienia rozwoju osobowości. Tworząc warunki do najpełniejszego, najbardziej bogatego rozwoju osobowości, przy pełnym poszanowaniu różnorodności poglądów, musimy pamiętać o tym, że wszechstronny rozwój jest możliwy tylko w ramach zbiorowości. Czerpiąc siłę z tej zbiorowości — musi on zarazem służyć jej interesom i respektować wynikające z tych interesów granice zachowania.

Państwo nie jest abstrakcją, lecz zjawiskiem historycznym i — jak to przyjął marksizm — produktem walki klas. O jego wartości

decydują trzy podstawowe — organicznie z sobą związane — czynniki: treść (społeczna istota), forma władzy i metody rządzenia.

Konstytucja PRL określa treść i formy władzy, przyjmując typ socjalistycznego państwa. Demokracja metod rządzenia może wynikać i z prawnej regulacji, ale jego charakter będzie wyznaczał przede wszystkim polityczna praktyka. Ludowładztwo zaś jest tym znamienne, że opiera się na zasadzie społecznego uczestnictwa.

Dumni jesteśmy z bogactwa duchowego naszego narodu, z wielkich myślicieli, twórców i odkrywców. Dla duchowego rozwoju, nieustannego wzbogacania kultury jako wartości integrującej, trzeba czynić bardzo wiele. Zwracanie uwagi na kształtowanie politycznego myślenia nie może konkurować z duchowym rozwojem, a wręcz przeciwnie: musi mu służyć. Jest to jednak możliwe tylko pod warunkiem, że będziemy myśleć i działać do, a nie odśrodkowo, że rozumienie tych założeń i porozumienie w realizacji celów i zadań zbiorowości będzie realne. I to nie na zasadach mechanicznych, lecz merytorycznych.

Myśl polityczna przeszła już znaczącą drogę od koncepcji antycznych do współczesnych. W tym dorobku znalazła się koncepcja Jeana J. Rousseau, przyjmująca, że większość zawsze ma rację, ale także poglądy Ibsena, że większość nigdy nie ma racji, aż do rozumienia demokracji w sposób mniej statystyczny, a bardziej merytoryczny — jako metody wyboru optymalnego roz-

„przeszkadza”. Pierwsze określenie wiąże się ze świadomością negatywnym nastawieniem psychicznym jednostki, drugie ma charakter bardziej zobiektywizowany. W jakimś przeciwieństwie „przeszkadza” to, że mamy różne osobowości, zindywidualizowane cechy i właściwości, że żyjemy w różnych warunkach i wykonujemy różne zajęcia. Jeśli więc zbiorowość składa się z różnych osobowości, to ten fakt trzeba realnie uwzględnić. W końcu nikt nie domaga się od kierowcy prowadzenia pojazdu w sposób zautomatyzowany, precyzyjnie określony, lecz takiego przestrzegania zasad bezpiecznego i rozsądnego prowadzenia pojazdu, aby uniknąć ujemnego skutku, a w każdym razie — zminimalizować możliwość jego nastąpienia. Celem przestrzegania zasad bezpiecznego poruszania się po drogach publicznych jest życie i zdrowie człowieka oraz jego mienie.

Cena politycznej nieroztropności jest znacznie większa. Już nieraz płaciliśmy za nią utratą suwerenności państwowej. Suwerenność zaś to nie tylko polityczna, ale także ekonomiczna samodzielność; to możliwość zaspokajania podstawowych potrzeb społecznych.

Aby dojść do takiego rozumienia elementarza politycznego, musimy umocnić osłabione i nawiązać zerwane więzi społecznej komunikacji, musimy się uczciwie z sobą spierać pod wspólnym i nieprzekraczalnym założeniem, że czynimy to w celu umocnienia, a nie osłabienia państwa. W takich sporach trzeba być realistą, dokonywać ocen nie we-

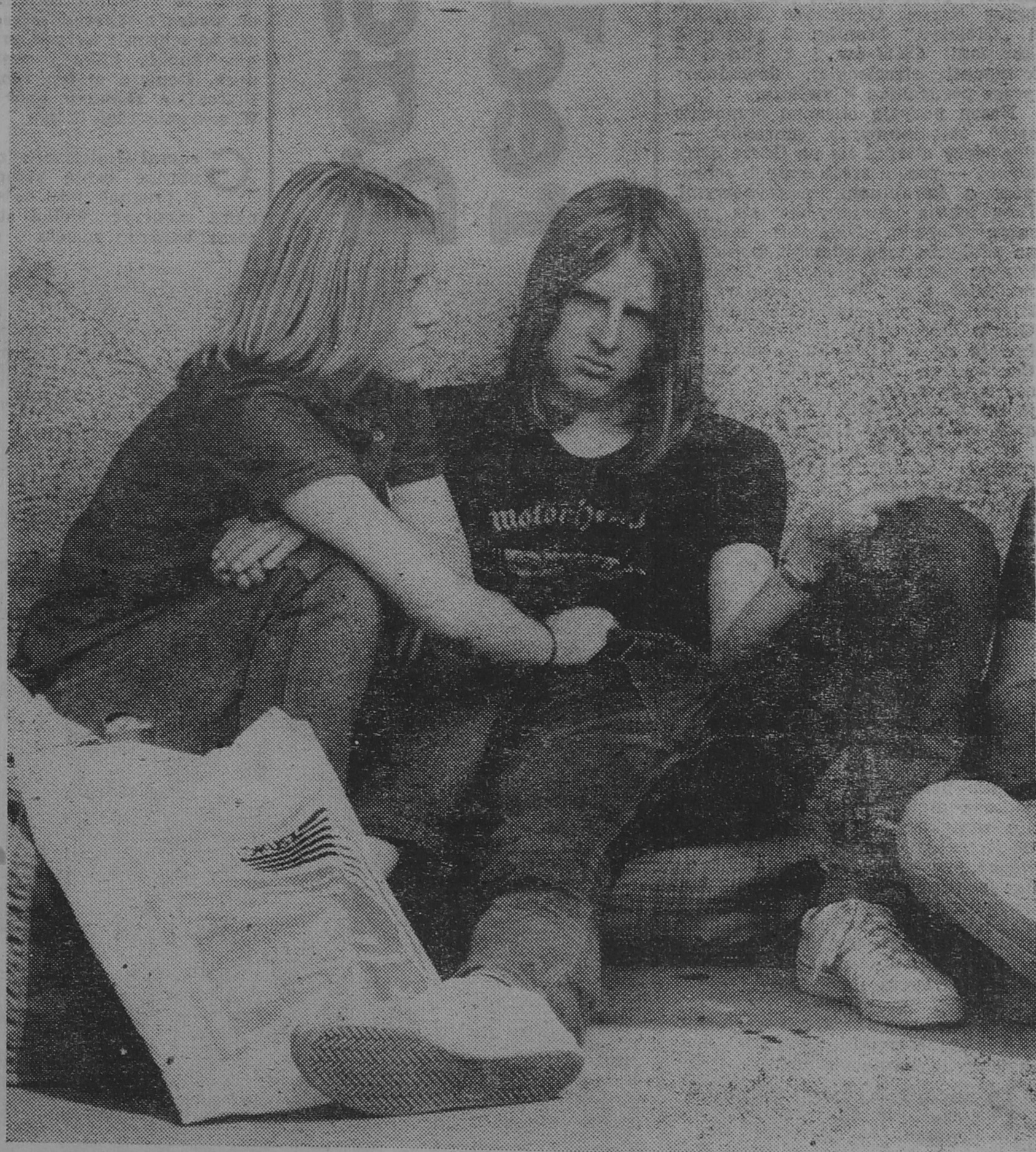
Po trzecie: w miejsce nieustannego usprawiedliwiania się obiektywnymi względami zajmijmy się bliżej i bardziej dogłębnie tym, co subiektywne, co nam wewnętrznie przeszkadza, co należycie rozpoznane i ocenione — da nam to szansę gospodarczego podniesienia się i tym samym politycznego umocnienia.

Po czwarte: proces socjalistycznej odnowy to także kształtowanie świadomości państwowej i postaw ludzkich. Człowiek jest bowiem warunkiem powodzenia we wszystkich poczynaniach. Dobrze, jeśli tę jego działalność ułatwiają urządzenia techniczne, organizacyjne czy prawne, ale wszystkie one mogą go tylko wspomagać, a nie zastępować. Stradivarius czy Bechstein w rękach muzycznego analfabety pozostaje wprawdzie nadal wspaniałym instrumentem, ale sam muzyki nie stworzy. Nie w mistycznie pojmuwanej reformie gospodarczej — czy traktowanej podobnie legislacji — tkwi klucz do poprawy naszego życia, łagodzenia trudności, rozwiązywania problemów w ogóle, lecz w należytych skorzystaniu z tych instrumentów społecznego kierowania.

Rzecz przy tym nie w akcie jednorazowego porozumienia, zrywów bowiem nigdy nam nie brakowało. Byłby to jeszcze jeden akt wiary, a nie woli. Trzeba nam porozumiewania się w sensie stałej, prawdziwej komunikacji społecznej i społecznego współdziałania. Życie wymaga kompromisów, ich więc trzeba nieustannie poszukiwać w

(3)

nadzieja wbrew nadziei



wiązania przez społeczne współdziałanie.

porozumiewać się, znaczy: rozumieć

Linii podziałów można prowadzić wiele, według kryteriów narodowościowych, światopoglądowych czy religijnych, ale nie muszą one antagonizować ludzi. W kryteriach społecznych musi decydować interes zbiorowości i, wynikający z niego, podział na to, co dobru tej zbiorowości służy i co „szkodzi”. Odróżnić trzeba pojęcie „szkodzi” od

dług deklaracji, lecz rzeczywistych interesów i zachowań.

Churchill mówił również gorąco „o tych, co uratowali Anglię”, jak silnie przeciwstawiał się w czasie rozmów poczdamskich określonym granicom na Zachodzie. On był po prostu Anglikiem i rozumował w kategoriach polityki mocarstwowej swego państwa i jego interesów.

Po drugie: doświadczeń z historii Polski nie można naginać do własnych wyobrażeń, lecz umiejętnie je wykorzystywać wobec konkretnych realiów politycznych dla tworzenia warunków optymalnie bezpiecznej egzystencji politycznej i maksymalnie korzystnego rozwoju gospodarczego.

rozwiązywaniu sprzecznych interesów społecznych. Dla wszystkich tego rodzaju poczynani granice powinno wyznaczać dobro zbiorowości, uosobianej w państwie.

Rzecz w tym, aby miejsce podziałów społecznych zajęły merytoryczne dyskusje i spory, oparte na różnym sposobie patrzenia, ale zawsze podporządkowane dobru państwa, aby wola porozumienia wyposażona była w zdolność rozumienia i rozumowania, i tym sposobem okazała się wykorzystaną szansą pokonania kryzysu gospodarczego, politycznego i moralnego.

ZDZISŁAW CZESZEJKO-SOCHACKI



Do kapitana Władysława Raginisa dotarłem z Osowca dwa dni przed natarciem. Z mostu pod Wizną zauważyłem wznoszące się bunkry i choć, zgodnie z rozkazem, miałem dotrzeć do samej Wizny, intuicyjnie domyśliłem się, że dowódcą jest już na swym odcinku obrony.

Sprzet, jaki wiozłem, nie był najlepszej klasy, ale mógł się jeszcze przydać. Kapitan bardzo ucieszył się z mojego przyjazdu, bo dostarczyłem mu w zalakowanych kopertach ważne szyfry. Szybko „dotarliśmy” do ich zawartości. Po kilkunastu minutach byłem już zorientowany w sytuacji i nawiązałem pierwszy kontakt z Osowcem.

Moje służbowe lokum znajdowało się w tym samym bunkrze i tylko ścianka dzieliła mnie od kwatery dowódcy. Przychodził do mnie posłuchać meldunków z głębi kraju. Reagował na nie tylko machnięciem ręki i nie dawał po sobie poznać, że wywierają na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Często wychodził sprawdzić pozycję. Rozmawiał z żołnierzami. Obserwował pole. Jego bunkier chronił wysoki kopiec ziemi, tak sprytnie usypany, że wyglądał jak naturalny pagórek; był trudny do wykrycia. Podobnie zamaskowała załoga pozostałe punkty oporu.

Systematyczne ostrzeliwanie naszych pozycji rozpoczęli Niemcy rano 8 września. Wcześniej rozbili pluton zwiadowców konnych 135 pułku piechoty. Ich oddział rozpoznawczy przeprawił się już na lewy brzeg Narwi. Odcinków „Kurpiki” i „Gielczyn” broniły: 2 pluton 3 kompanii CKM-ów i 2 pluton 8 kompanii strzeleckiej, dowodzony przez porucznika Kiewlicza.

Naszą pozycję obronną stanowiło sześć żelaznych schronów — dowódcy mieścił się na Górze Strękowej — ponad sześć małych schronów z karabinami maszynowymi. Dwa lekkie znajdowały się nad samą Narwią. Niemcom zależało na zdobyciu tego odcinka, ponieważ korpus pancerny generała Guderiana miał przez Wiznę uderzyć na Brześć. W tym czasie Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew” wycofywała się w kierunku Zambrowa i Czerwonego Boru. Szybkie działania wojsk nieprzyjacielskich odcieły ją od Armii „Modlin” oraz oskrzydliły od zachodu i południa.

8 września 3 batalion 33 pułku piechoty bronił Nowogrodu. „Granat rozbil kopułę pancerną — pisał o tej nierównej walce ówczesny korespondent wojenny, Hadamowski — i rozszarpał część załogi, ale pozostali przy życiu bronili się dalej i nie można było granatami zmusić do milczenia. Granat po granacie wybuchał nie mogąc jej przebić, aż wreszcie saperzy i piechota wspólnie wysadzili drzwi pancerne. Obrońcy jednak padli dopiero po walce wręcz.”

Niemcy skierowali na nas tyle żelaza, że w bunkrach trudno było wysiedzieć. Kapitan Raginis wielokrotnie przypominał nam, byśmy podczas ataku nie rozmawiali, ale nie zamykali ust. Od silnej detonacji przytrafiały się krwotoki. Dowódca, wciąż spokojny, mówił do nas z uśmiechem, który — mimo beznadziejnej sytuacji — zastępował nam wtedy wiarę w przetrwanie. Komunikaty nadal były niepomysłne: nikt nie spieszył z pomocą. Wiedzieliśmy, że Niemcy są już pod Warszawą. Cóż mogło w takiej sytuacji nas czekać? Nie myślałem o tym, póki starczało amunicji, choć obok byli ranni i zabici.

Porucznik Brykałski zginął drugiego dnia. Nie wiem, czy nie stworzył za wcześnie ognia. W ten sposób pierwszymi strzałami zdradził swoje pozycje. Może taki miał rozkaz? A może w ten sposób chciał podkreślić wolę walki i dodać otuchy swoim żołnierzom? Widziałem, jak koledzy nieśli go do bunkra. Pochowaliśmy go w pobliżu.

W nocy z 8 na 9 września Niemcy wprowadzili do walki wszystkie siły 19 korpusu pancernego. Zalewała nas lawina ognia i żelaza. Bombardowanie lotnicze i ostrzeliwanie artyleryjskie naszych stanowisk nasiliło się 9 września o świcie. Przestał istnieć most na Narwi w Strękowej Górze — zniszczyła go bomba lotnicza. Nacierali hitlerowska piechota, także czołgi.

Folder „Obrona Wizny”, wydany przez Radę Główną Ochrony Pom-

ników Walki i Męczeństwa, zawiera m.in. relację niemieckiego oficera, który w walce pod Wizną 9 września 1939 roku napisał: „Rankiem sforsowaliśmy Narew pod Wizną. Po południu nasza piechota natrafiła na silny ogień karabinów maszynowych z linii polskich schronów bojowych. Im bardziej saperzy przybliżali się do przedniej linii piechoty, tym silniejszy stawał się ogień polski. Można się było posu-

wać do przodu tylko krótkimi skokami. Czołowe natarcie na schron nie doprowadziło do celu. Dowódca saperów zdecydował się zatem obejść schron i podejść skrycie przez całą wieś Kurpiki. Nagle saperzy otrzymali silny ogień ze wsi.

Ponieważ karabinami maszynowymi nie można było Polaków zwalczyć, użyto rakietnicy. Słomą kryte dachy zapaliły się łatwo. Przez zamienioną w zgłiszczę wieś oddział szturmowy uderzył na schron, który wciąż ostrzeliwał naszą piechotę. Czołgi otworzyły silny ogień na strzelnicę schronu i przygniotyły obsługę polskich karabinów maszynowych do ziemi. Wobec tego udało się jednemu z naszych saperów podejść do drzwi wejściowych i umocować tam ładunek amunicji wybuchowej. Po detonacji drzwi odskoczyły. Wejście jednak zostało natychmiast zabezpieczone.

Twierdzi obrońcy polscy nie chcieli w żadnym wypadku zaprzestać walki i nasz oddział został ponownie zasypywany pociskami z broni maszynowej. Mimo tego drugi saper podczołgał się do strzelnicy karabinu maszynowego — wybuchł ładunek amunicji i karabin zamikł. Próba wtargnięcia do schronu spełzała jednak na niczym, ponieważ kopuła była nadal nie uszkodzona, a z niej polski karabin maszynowy trzymał nas pod ogniem. Wtedy jeden z saperów ukrył się za wieżyczką czołgu, który wjechał na ścianę schronu. Dwa karabiny maszynowe, które dotychczas prowadziły szalony ogień, zostały zniszczone.

Ale i teraz Polacy się nie poddali, mimo że broń ich została zniszczona. Jeden z saperów wszedł ponownie na schron i wrzucił przez strzelnicę kopuły kilka granatów ręcznych. Dopiero w ten sposób został skutecznie złamany opór Polaków. W schronie znaleźliśmy 7 zabitych.”

Generał Guderian nazwał naszą obronę swoją kompromitacją i pragnął jak najszybciej z nami skończyć. Walka stawała się coraz bardziej zacięta i nie chcie-

liśmy nawet myśleć o jej końcu, chociaż nieuchronnie się zbliżał — wbrew naszej woli. Przecież byliśmy się po to, żeby zwyciężyć, żeby obronić swój odcinek. Tymczasem wrogi wojska były coraz bliżej.

Przez okienko bunkra widziałem przedpole. Niemcy białą chorągiewkę pokazywali nam już nieraz. Śmieliśmy się z tego i zdecydowanie odmawialiśmy. Pewnego dnia dotarło do nas dwóch piechurów — po amunicję. Kapitan Raginis radził im pozostać, bo na zewnątrz był spotęgowany ostrzał artyleryjski. Nie usłuchali. Podczołgali się na swoje pozycje. Powiedzieli, że muszą tam dotrzeć.

Zdarzyło mi się być też lekarzem. Lekko rannemu kapitanowi wyciągałem z kręgosłupa odłamki pocisku. Nawet mi się to chyba udało, bo nie narzekał potem na dolegliwości.

Obrońcy odcinka „Gielczyn”, jakże nieliczni, wycofali się w kierunku Białegostoku, wynosząc rannego dowódcę, porucznika Kiewlicza. Na odcinek „Kurpiki” wdarli się Niemcy dopiero po kilkugodzinnej walce. Bronili się jeszcze pojedyncze bunkry, choć nie miały już z sobą żadnej łączności. Przybywało rannych, zabitych. Brakowało amunicji. Pamiętam, że kapitan Raginis obsługiwał ostatnią taśmę erkaemu. Żołnierz, który był obok niego, powiedział mi potem, iż wdział też w jego ręce granat. Nikt go wtedy nie pytał, po co go trzyma.

Niemcy znajdowali się na przedpolach bunkra. Zbliżali się coraz pewniej, szybciej. Za chwilę miała dopełnić się nasza przegrana. Kiedy przed południem, przed obłożeniem odwiedził nas ppłk Tabaczyński, powiedział, że mamy najtrudniejszy do obrony odcinek i że liczy na naszą bojowość, wytrwałość, spełnienie obowiązku. Po takich słowach ciężko było myśleć o kapitulacji.

Kapitan Raginis przemówił do nas 10 września. Nie pamiętam, która to była godzina: może dwunasta, może pierwsza. Powiedział, że spełniłmy nasz żołnierski obowiązek. „Ja udaję się do erkaemu, a wy możecie już szykować się do wychodzenia.” Doradzał nam, byśmy zachowali spokój i wychodzili pojedynczo, zachowując pewne odstępy. Przypadło mi w tym czasie spalanie wszystkich szyfrów i innych dokumentów. Zdjąłem też naszywkę, bo nie chciałem dodatkowych przesłuchań.

Wyjście było otoczone żołnierzami niemieckimi, z gotowymi do strzału cekaemami. Niektórzy leżeli przy nich płackiem. A myśmy wychodzili pod górke. Wozy były już przygotowane.

Ustawili nas w szeregu. Ponieważ miałem kłopoty z żołądkiem, używałem specjalnej menażki z napojem na parę. Jakis niemiecki porucznik natychmiast mi ją zabrał i przypieczętował sobie.

W tym czasie w bunkrze kapitana Raginisa nastąpił wybuch. Nikt się nie spodziewał, że nasz dowódca nie opuści pola bitwy. Zawsze taki spokojny. Gdy sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna, byliśmy wszyscy przygotowani na to, aby nie dać się Niemcom wziąć do niewoli. Spaliśmy z odbezpieczonymi karabinami i trzymaliśmy je pod brodą, by — na wypadek podstępного ataku — we właściwym momencie pociągnąć za spust. Ktoś mi później powiedział, iż mieli z porucznikiem Brykałskim takie sprzysiężenie. Ale ile jest w tym prawdy?

Niemcy zawieźli nas do Wizny, ulokowali w suterenie. Pamiętam, jak przez małe okienko próbowałem dociec, gdzie jesteśmy. Po drodze widziałem niemieckie wozy sanitarne — jechały po poległych. Potem podjęli nas kawał, a generał Guderian (nie wiedziałem wtedy, że to ich generał) wskazał na nas i powiedział, że gdyby miał takie wojsko, na pewno zawołałby cały świat.

Potem wywieźli nas do obozu w Hochensteinie (Włocławek), gdzie rozpoczęliśmy zwyczajne, szare jeńieckie życie. Zdarzało się nieraz oberwać i szturchnąć, i pałką przez głowę, zwłaszcza wtedy, gdy grupowo zmierzaliśmy do kuchni po tykę jeńieckiej strawy. Ale tak do końca nie daliśmy się. Byli nawet tacy, którzy w obozie trzymali broń.

Notował

STANISŁAW ZIELIŃSKI

reduita Raginisa



Gniazdem rodzinnym Chętników od ponad 300 lat był Nowogród. Bogata historia tego miasteczka i puszcząński charakter regionu zaciękawili. Go od dzieciństwa, które spędził nad Narwią i Pisą — odwiecznymi szlakami komunikacyjnymi Kurpiowszczyzny. Tu rozpoczął swoje pierwsze obserwacje pracy rybaków, przeobserwatorów, oryli, poznał zwyczaje i obyczaje regionu, któremu później poświęcił trud całego życia.

Ludność Nowogrodu i okolicy trudniła się rybołówstwem, myślistwem, bartnictwem, różnorodnym przemysłem leśnym i rolnictwem. Jego ojciec Wincenty oprócz rolnictwa (miał trzy morgi ziemi) zajmował się ciesielstwem i stolarstwem. Wyrabiał również instrumenty muzyczne, na których umiał grać, i naprawiał sprzęt domowy. Ciekawym był także świata; chcąc pogłębić swoje umiejętności — wyjeżdżał za granicę. Nie zaniedbywał jednak swego zawodu budowniczego ani — doskonale prosperującego — gospodarstwa. Znajdował także czas na zagłębienie w książkę w swojej, wciąż powiększającej się, bibliotece. Prenumerował również gazety.

Obszerny dom Chętników był zawsze pełen ludzi: specjalnie zapraszanych gości i zwykłych wędrowników, ściągających do Nowogrodu na targi czy do kościoła, strudzonych drogą, spragnionych. Znajdowali tam przyjazne przyjęcie, odpoczynek i poczęstunek, np. w postaci miodu z pasieki ojca — najlepszego w okolicy na różne choroby.

„W niedzielę do naszego domu schodziło się wielu krewnych i sąsiadów na wspólne czytanie gazet. Młodzież zbierała się wieczorami na czytanie książek, głównie Sienkiewicza, na gry i zabawy” — wspomina Adam Chętnik w „Moim zyciorysie...”. Słuchano też z zainteresowaniem opowieści o przeżyciach powstańców, zachowanych w pamięci starych puszczaków. Dziad Adama, Kazimierz, również walczył w powstaniu styczniowym.

W domu Chętników rozprawiano o polityce, bowiem Kurpie od dawna słynęły z patriotyzmu. Adam Chętnik pisał o częstych rewizjach w domu rodziców w latach 1904—1905, o poszukiwaniach nielegalnej literatury, aresztowaniu ojca, a także o swoich aresztach i więzieniach.

Po ojcu odziedziczył wielostronność zainteresowań, po obojgu rodzicach — zdolności, głęboki patriotyzm i życzliwość dla ludzi. Wcześniej uświadomił sobie fakt, że aby móc dobrze służyć w przyszłości ojczyźnie, musi się stale dokształcać. Dlatego nie rozstawał się z książkami, nawet podczas pomagania ojcu w pracach budowlanych i gospodarskich.

Działalność społeczną w najbliższym środowisku zaczął bardzo wcześnie. Jeszcze jako młodzieniec — ze składek swoich rówieśników — założył w roku 1903 pierwszą bibliotekę w Nowogrodzie. Prowadził też młodzieżowy zespół muzyczny. Podczas niewoli carskiej prowadził z poświęceniem tajne nauczanie: jeździł od wsi do wsi, by uczyć pisać i czytać po polsku dziatwę szkolną, a jednocześnie uświadczyć ją narodowo.

Później wygłaszał odczyty i pogadanki na temat regionu, które ilustrował przeżroczami, wydawał książki i broszury popularyzujące Kurpiowszczyznę, m.in. „Bibliotekę Nadnarwiańską”. Po wsiach zakładał biblioteki, czytelnie, organizował chóry i zespoły amatorskie, dla których wydawał „Przegląd Sztuk Teatralnych”.

Po powstaniu Skansenu w Nowogrodzie zorganizował zespół taneczno-widowiskowy i kapelę kurpiowską. W 30 nr. „Przeglądu Łomżyńskiego” z 1934 r. czytamy, że zespoły regionalne z Nowogrodu pod opieką Adama Chętnika występowały w całym województwie prezentując folklor i obrazki z życia codziennego Kurpiów.

Pasją życia Chętnika był bowiem region kurpiowski i jego historia, a muzealnictwo traktował głębiej niż jako walkę o rodzimą kulturę. Już w 1909 r. zaczął gromadzić zbiory, których część przekazał muzeum w Ostrołęce (zawiózł je furmanką na własny koszt — za 20 rubli).

W okresie międzywojennym — na placu zakupionym przez żonę Zofię — zaczął organizować muzeum w

Każdy region podkreśla swoją specyfikę. Chciałby mieć jakiś szczególny wyróżnik. Kurpiowszczyzna ma ich wiele. Jednak najsilniej z tym regionem związana jest postać wybitnego jego znawcy, doc. Adama Chętnika. Z związku z przypadającą w przyszłym roku setną rocznicą Jego urodzin — Polskie Towarzystwo Ludoznawcze postanowiło zorganizować sesję naukową, poświęconą pamięci Adama Chętnika i kulturze regionu kurpiowskiego. Ja pragnę zaprezentować twórcę Skansenu w Nowogrodzie jako działacza społecznego. Czynię to z tym większą przyjemnością, że osobiście znałem Go w ostatnich latach Jego życia.

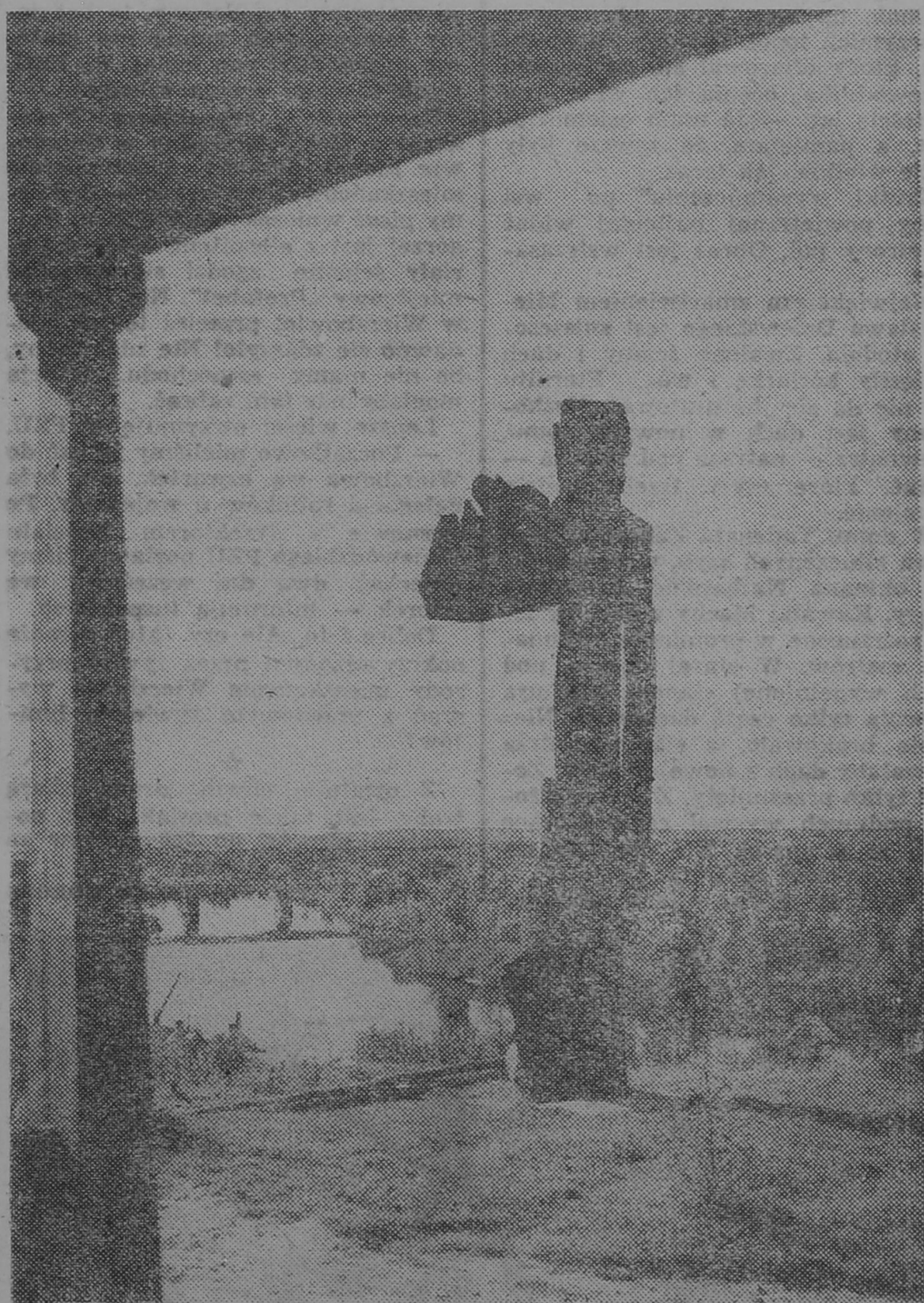
mieć swobodę ruchów po puszczy i zwozić eksponaty.

W roku 1930 Chętnik przekazał muzeum Towarzystwu Krajoznawczemu, lecz pozostał jego kierownikiem aż do całkowitego wykończenia placówki. Specjalna komisja sporządziła szczegółowy inwentarz i szacunek majątku. Obliczenia wykazały, że całość przedstawiała wartość 35 027 złotych i 25 groszy, a wkład Adama i Zofii Chętników wynosił 20 000 złotych. W książce „Prawda o muzeum w Nowogrodzie” wyczytałem taką refleksję Adama Chętnika: „Podobnie tracił fortunę Z. Głogier, ale to był człowiek zamężny. Moich wydatków nie mogą zrozumieć ludzie przeciętni, a tym bardziej nowocześni, zmateralizowani”. Natomiast w książce „Muzeum w Nowogrodzie” napisał: „I myślę czasem, ilu ludzi życiowych i praktycznych powie kiedyś, że w Nowogrodzie żył taki sobie fantasta, a może dziwak, który zamiast młyn parowy zbudować sterał pół życia, by stworzyć «jakieś tam» muzeum dla swych ziomeków, który uczył ich poznawać i kochać swoją przeszłość i swoją starą słowiańską kulturę, który chciał dzieciom szkolnym Polskę pokazać i jej bogactwa — zamiast myśleć o potrzebach rodziny, by zapewnić jej i sobie byt na stare lata”.

Pozytywny wpływ rodziny Chętników na Nowogród zaznaczał się od dziesięcioleci

HENRYK BIAŁOBRZESKI

Rezerwoi Uczuć



Nowogrodzie. Przeznaczał na nie honoraria autorskie i diety poselskie. Za eksponaty płać ludzom przedmiotami przydatnymi w gospodarstwie, zaś po II wojnie światowej — tylko pieniędzmi (często przepłacając). W książce „Prawda o Muzeum w Nowogrodzie” napisał: „nie proszono nas o oprowadzanie po muzeum, a domagano się, sądząc, że jesteśmy dobrze wynagradzani”.

Nie rozumiało Chętników nie tylko miejscowe społeczeństwo, ale i władze — nawogrodzkie i łomżyńskie. Nie dały żadnej zapomogi na muzeum, lecz obłożyły je różnymi podatkami. Założyciel Skansenu musiał kupić konia, wóz i sanie, by

w różnych dziedzinach. Np. ojciec Adama przywiózł z Anglii maszynę i założył tam pierwszą cegielnię, dając zatrudnienie miejscowej ludności, a matka zorganizowała w swoim mieszkaniu szwalnię dla dziewcząt. Ponadto ojciec, wraz z krewniakami, stworzył obywatelską straż ogniową w Nowogrodzie.

Adam Chętnik kontynuował te tradycje rodzinne; założył np. w Nowogrodzie Spółdzielnię Pszczelarską. Głównie koncentrował się jednak na sprawach ochrony zabytków i przyrody regionu, o czym pisał w czasopiśmie, m.in. w „Chrońmy Przyrodę Ojczystą”. Utrzymy-

wał kontakty z Państwową Radą Chrony Przyrody w Krakowie i należał do Ligi Ochrony Przyrody. Założył też wiele rezerwatów, np. jalowca drzewiastego.

W „Przeglądzie Łomżyńskim” z 17 XII 1933 r. pisał o potrzebie utworzenia rezerwatu leśnego na Kurpiach. Bolał nad niszczeniem puszczy przez Prusy w czasie I wojny światowej oraz wywozieniem starodrzewia Wisłą do Gdańska. Rezerwat taki powstał dopiero po II wojnie światowej i to na niewielkim obszarze — między wsiami Czarnia i Surowo.

Pisał też o konieczności regulacji dopływów Narwi płynących z jezior mazurskich. Górne ich odcinki zostały przez Niemców uregulowane, dlatego wody wiosenne zalewały łąki i ludność nie mogła zbierać siana. A Chętnik, znający jak nikt biedne życie ludu kurpiowskiego, występował o poprawę jego położenia. Ponieważ ziemia na Kurpiach była słaba („piaski i laski”) i brakowało tam przemysłu, postulował zatrudnienie Kurpiów np. przy budowie kolei, regulacji Narwi czy eksploatacji torfu (głównie w powiecie ostrołęckim).

Piętnował z nazwiska urzędników za nadużycia wobec ludności, np. pana Ubysza — nadleśniczego z Ływencji dawała Mu działalność powojennej dawała Mu działalność poselską (1922—1926). Występował do rządu o sprawiedliwe sklasyfikowanie ziemi uprawnej na Kurpiach, gdyż po zaborach celowo dopisywano grunty lepszej klasy, by ludność płaciła większe podatki w odwet za udział w powstaniu. Zwracał uwagę na potrzebę pomocy państwa w odbudowie powojennej. Ludność mieszkająca w chlewikach i ziemiankach, a rząd przeznaczał znikome ilości drzewa na budulec, zaś najpiękniejsze szły do sąsiednich Prus (np. w 1923 r. wywieziono tam z powiatów ostrołęckiego i kolneńskiego 48 059 metrów sześciennych drzewa, a na odbudowę tych okolic przeznaczono tylko 11 505).

W roku 1923 złożył w Sejmie wnioski wstrzymania bezładnego wyrębu i wywozu za granicę lasów puszczy kurpiowskiej, odbudowy pogranicza Prus Wschodnich i unormowania stosunków gospodarczych na Kurpiach (w związku ze słynnym marszem na Kolno). Był w komisji sejmowej badającej skargę ludności kurpiowskiej i w czasopiśmie „Zorza” z 20 IV 1924 r. pisał o niesprawiedliwym dla ludności podatku („pogłównym” i „podymnym”). W roku 1926 złożył wniosek o regulację dopływów Narwi w powiatach kolneńskim, ostrołęckim i przasnyskim.

Bliskie były Mu też sprawy mazurskie. Nie uznawał nigdy granicy między Polską a Mazurami; uważał ich za bliskich krewnych Kurpiów. Zdawał sobie sprawę z roli i znaczenia tych ziem, warunkujących szeroki dostęp Polski do morza. Organizował więc wycieczki na pogranicze i nad morze, chcąc zbliżyć społeczeństwo do tego problemu. Gdy w 1919 r. został wydelegowany przez Centralny Komitet Mazurski do przygotowania akcji plebiscytowej na pograniczu Prus Wschodnich — z całym zapalem i poświęceniem oddał się tej pracy. Redagował liczne ulotki, wydawał czasopisma dla Kurpiów i Mazurów: „Gość Puszczański” i „Goniec pogranicza”. Dla celów plebiscytowych zorganizował wiec puszczaków w Dębniakach, na który przybyło około 15 000 Kurpiów.

Na odsłonięcie pomnika bohatera kurpiowskiego Stacha Konwy w lesie Jednaczewskim pod Łomżą — postawionego przez Adama Chętnika — przybyli również i bracia mazurscy przez „zieloną granicę”. Tuż przed II wojną światową wydał bardzo cenną pracę: „Mazurskim szlakiem”, w której proroczo przewidywał przyłączenie Mazur i Warmii do Polski. Dlatego w czasie okupacji musiał się ukrywać w okolicach Warszawy pod zmienionym nazwiskiem.

W Polsce Ludowej poświęcił się całkowicie muzealnictwu. Jego wiedza etnograficzna „o braciach Mazurach” była często wykorzystywana. Pracując w Muzeum Ziemi w Warszawie, a następnie — Muzeum Regionalnym w Łomży — robił zawsze o wiele więcej, niż nakazywał obowiązek. Po przejściu na emeryturę pracował społecznie jako doradca w Skansenie. Jego wizjonerskie plany rozwoju muzeum czekają jeszcze na realizację.

historia i dzień dzisiejszy



BYŁA SOBOTA, tuż przed „Dziennikiem Telewizyjnym”. Pora dojenia krów. Kto by się spodziewał... Każdy przeżył różne burze, wielkie wichury. Przecież zawsze słońce świecić nie może. Ale to, co zdarzyło się w Wierzbowie, zaskoczyło i oszłomiło wszystkich, nawet najstarszych.

Dziadek Zaborowski ma 80 lat. W sobotę zajmował się w domu wnuczkami. Niewiele widział. Słyszał natomiast, jak zatrzeszczały w oknach futryny. Nie, jeszcze pamięta, że na podwórku wily się płomienie podobne do tych od zimnych ognii.

Mieczysław Dolewski doł krowy

Wiesław Kołowski

szalał niebieskich
ciał

obok stodoły, ale zaobserwował więcej: — Najpierw pociemniało jak przed deszczem. Chciałem jak najszybciej skończyć dojenie i zdążyć przed ulewą. Wziąłem wiadro i biegiem do domu, gdy nagle rozległ się taki huk, jakby sto czołgów jechało. Obejrzałem się. Na niebie zobaczyłem czarny przedmiot, przypominający samolot, ale wielki jak trzy stodoły! Otoczony był ogniem. Już na schodach usłyszałem straszny hałas: to zawałiła się moja stodoła.

Tadeusz Zaborowski czuł, że nadejdzie wichura. Próbował zamknąć wrota do stodoły: — Nie dałem rady. Pchnęło mnie na ścianę. Przez kilka sekund stałem jak ogluszony. Kiedy się ocknałem, zacząłem wołać do synów; przed momentem byli przecież przy mnie! Później znalazłem ich w garażu. Może było z nimi tak, jak z kozuchami: wisiały na strychu, a znaleźliśmy je w pokoju piętro niżej. Nikt ich nie przynosił, a drzewa były zamknięte.

Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Warszawie nie odnotował wydarzeń w Wierzbowie. Ich przebieg — przekazany telefonicznie — nie wywołał zdziwienia.

— Nie mógł to być meteoryt — powiedział spokojnie pracownik Instytutu. — Przede wszystkim dlatego, że musiałby spaść gdzieś w okolicy. To niemożliwe, aby wywołał takie skutki i spalił się nie zostawiając śladu. Natomiast chmury burzowe, zawierające powietrze i ograniczony zasięg zniszczeń wskazują na to, że była to trąba powietrzna. Warto dodać, że należy ona do najbardziej pustoszących zjawisk przyrody.

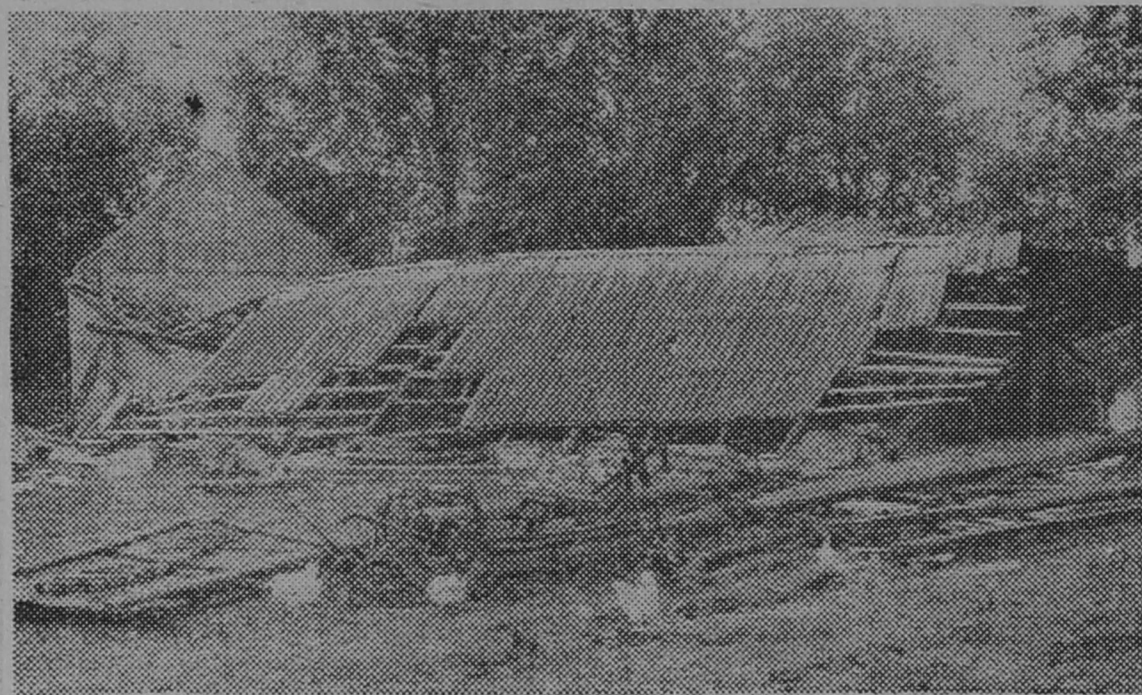
W poniedziałek, na trzeci dzień po

nawiedzeniu wsi przez trąbę powietrzną, w Wierzbowie świeci słońce. Wieś czeka na likwidatorów szkód z PZU. Kiedy zatrzymuję się na skraju wsi, starsza kobieta prowadzi mnie na podwórko. Chce pokazać zawałoną stodołę.

— Zawaliło się w sobotę?

— Wcześniej, ale przy tej okazji zapisze pan i naszą. Dostaniemy odškodowanie, podzielimy się po połowie — proponuje. Zapisuję imię i nazwisko.

PRAWDZIWE SKUTKI sobotnich wydarzeń widoczne są na końcu wsi. Zniszczenia zaczynają się już na polu: droga zatara-



sowana, kilkanaście połamanych i popalonych wierzb, wyrwanych z korzeniami.

Dwóch mężczyzn próbuje pilami i siekierami wyrąbać przejazd.

— Może to kara Boża — sugeruje przyczynę.

— Jaka kara? — odparowuje zarzut jeden z nich. — Za co można karać ludzi w Wierzbowie?

Obok, na łące, kilka powalonych olbrzymich topól. Dziadek Zaborowski, który ofiarował się na moje przewodnika, ocenia ich wiek na dwieście lat. — Ja mam osiemdziesiąt, a pamiętam, że zawsze były takie wielkie, jak teraz.

Skutki „przetarczenia” po wsi trąby powietrznej najlepiej widać od strony pół. Obraz jest wstrząsający.

Największym zmartwieniem Mieczysława Dolewskiego jest zniszczenie stodoły. Zwalone ściany i dach uwięziły kosiarkę i wóz. Eternitu też nie da się już uratować. Uszkodzony jest dach w nowym domu. Wewnątrz — patrząc pod światło — widać, które płyty trzeba będzie wymienić.

W domu Tadeusza Zaborowskiego kilka słuczonych szyb, wyrwana rama okienna. Najbardziej ucierniał obory. Kawałki blachy z dachów leżą rozrzucone w promieniu kilkudziesięciu metrów. W starej oborze, pod dach wypełniony siano, wichura zerwała tylko część dachówek. Nie wiele brakowało, a siła powietrza zerwałaby dach z nowej stodoły. Został tylko przesunięty. Z jednej strony podmuch wyrwał cegły łączące dach ze ścianami. Nie obejdzie się bez częściowej rozbiórki.

W obórze jedyna ofiara sobotniej

wichury — trzymiesięczny prosiak. Wygląda tak, jakby spał, tylko sił nie znamie na łopatce sugeruje, że już nie zakwici.

Stanisław Konopko zebrał zboże z siedmiu hektarów i zwiózł do stodoły. Dzisiaj grubą warstwę przykrywa ono podwórko. Wichura przełamała stodołę na połowę i wymiotła z wnętrza zebrane plony. Dziś żona skrapia je tylko łzami, ale co będzie, jeśli spadnie deszcz?

CO NAJMNIEJ DZIESIĘĆ budynków ucierpiało z powodu trąby powietrznej. Są w różnym stopniu uszkodzone, ale — na przykład — trzy stodoły nadają się

już tylko do rozbiórki. Czy będzie z czego wznieść nowe?

— Wróciłem z Urzędu Gminy — mówi Jan Szablowski. — O materiałach budowlanych na razie nie ma mowy. Został wyczerpany limit.

— Ale to przecież klęska żywiołowa!

— Zapomnij pan o tym — mówią rolnicy. — Jak sobie gdzieś w kraju materiały znajdziemy, to będziemy budować, na gminę nie możemy liczyć. Jedź pan lepiej do PZU, niech szybciej ocenia szkody.

Rzeczywiście, inspektorzy budowlani w Urzędzie Gminy w Sniadowie nie są przejęci nieszczęśliwym mieszkańcem Wierzbowa: — Będzie my pisać wniosek do WZIR-u. Najgorzej jest z eternitem. Może materiały ściennie zgodzi się sprzedać miejscowy „Prefabek”. Nie byliśmy w Wierzbowie; przecież to tak niedawno się zdarzyło! Nie zdążyliśmy, bo nie mamy samochodu. Milicja mogłaby nas tam zabrać.

Lepsze wieści otrzymuję w PZU. — Początkowo mieliśmy jechać do Wierzbowa we czwartek, ale była delegacja rolników u wojewody. Po rozmowie z dyrektorem Oddziału Wojewódzkiego PZU postanowiliśmy pojechać dwa dni wcześniej, we wtorek — informują inspektorzy.

Dobre i to. Ale czy ktoś pomoże pokrzywdzonym przez żywioł przyrody mieszkańcom Wierzbowa wygrać z urzędowym żywiołem limitów?

Z ostatniej chwili: druga ofiara trąby jest także prosiak. Wir powietrza wyniósł go 500 metrów za wieś i wbił w ziemię.

Fot. STANISŁAW HOROSZ

kontakty

Wędrowka po łomżyńskich sklepach przypomniała mi niedlegiś przeszłość, którą kryzys oddzielił od „dziś” zdecydowaną granicą i uczynił etapem historii.

Handel kwitł w owym czasie, lecz nie przeszkadzało to wcale propagować hasel typu: „Klient nasz pan” i dbać o fachowość i kulturę obsługi. Dziś są to, odłożone do lamusa, archaizmy, których znaczenia czasem jeszcze poszukuje ów klient — już nie „nasz”, lecz najwyższej „sobie” pan — na łamach gazet.

Domyślać się należy, że położony w centrum Łomży duży pawilon handlowy WPHW, z patronem w osobie samego Merkurego, którego mitologia powierzyła pieczę nad handlem, jest wizytówką firmy. Lecz mityczni bogowie chętnie odwracają się od ludzi, powodowani czy to gniewem, czy kaprysem. Czymże to naraził się patronowi personel sklepu, gdyż tylko jego nielaskę tłumaczyć mogą niektóre zjawiska w nim obserwowane, jak na przykład takie:

„Dziewczynki — grzmi po sklepie donośny głos — koniec obsługi” (choć „dziewczynki” i tak zapewne dobrze wiedzą — fajranta każdy pilnuje — że jest godzina 18.00 i właśnie zakończyły pracę). A na potwierdzenie tej błogiej wiadomości głośno światło i zalega półmrok, gdyż okna, zasłonięte półkami i ekspozycją towaru, nie wpuszczają za wiele dziennego światła.

Klient, który ma pecha znaleźć się w sklepie w tym niefortunnym (dla siebie) momencie, ma okazję posmakować wrażenia niestrasznie oberwanego kopniaka i poczuć się intruzem. Ponadto, jeśli jest przeczny, wieje czym prędzej, bo może się spodziewać, że zostanie posądzony o myśzkowanie po ciemku między wieszakami. Ciekawe: gdyby za bicia nie karano — dostałby ktoś w mordę? Pewnie nie jeden. Jeśli w tej scenie jest coś z fachowości i kultury obsługi, to na pewno fakt, że jednak nie biją. Ale nie zmienia to wymowy gestu. Klienta z tego sklepu po prostu się wyrzuca.

A może by tak pouczyć tę panią, iż to raczej kupujących należy informować, że zakończyliśmy sprzedaż, że dziękujemy i prosimy o opuszczenie sklepu?

Lecz gdy przy stoiskach są zaledwie cztery osoby, prościej byłoby stanąć na chwilę przy drzwiach i zacząć od razu wyjść. Skoro kasy są nieczynne — nie zabawiłby dłużej. Czas na tę grzeczność proponuje wkalikulować w godzinę pracy tak, jak — na przykład — na sporządzenie rozliczenia kasjerki.

ELŻBIETA KULIGOWSKA
ŁOMŻA

★

Jeśli wolno skorzystać z łamów „Kontaktów”, by podziękować ludziom za dobre serce — chciałabym to uczynić.

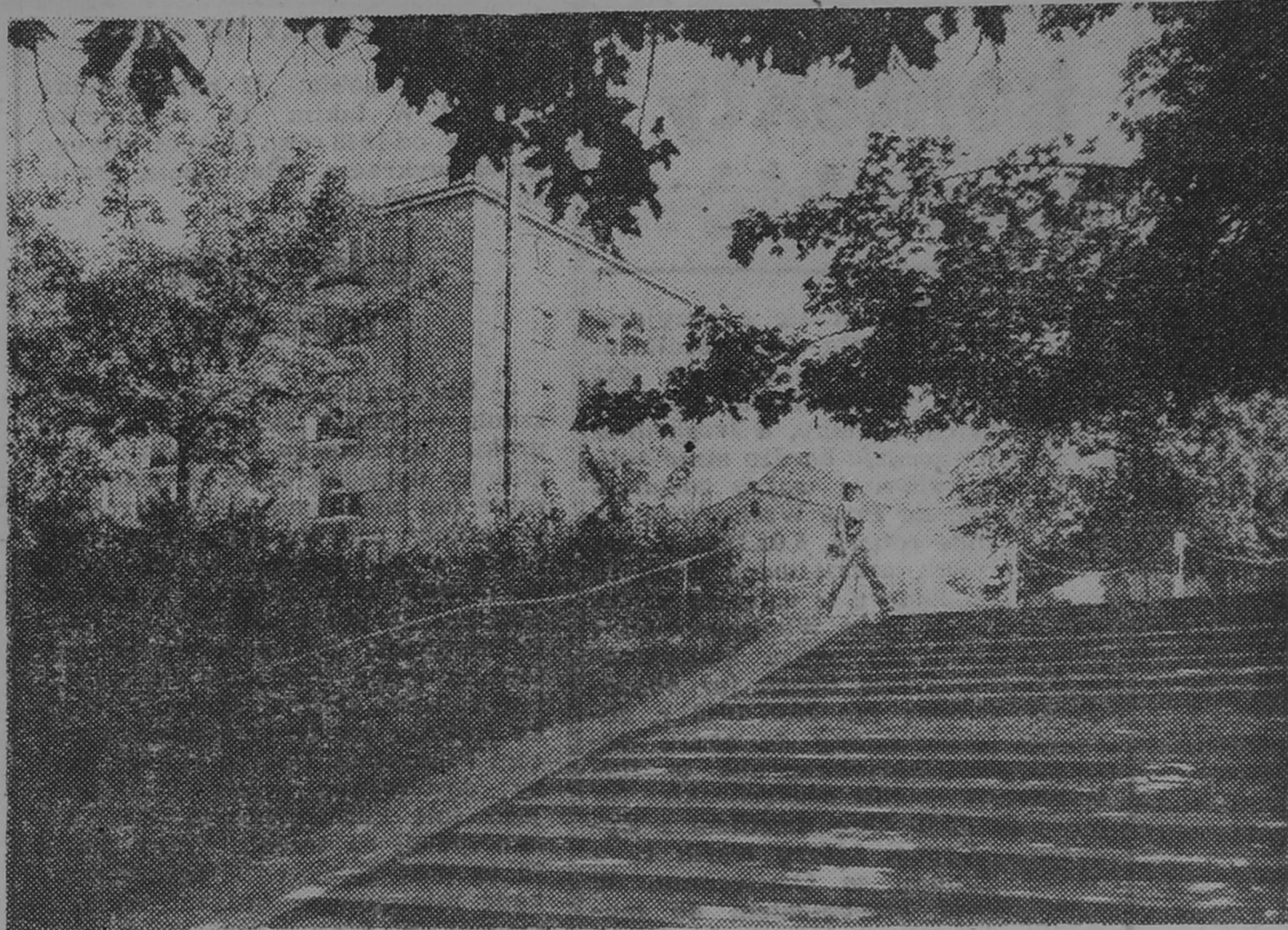
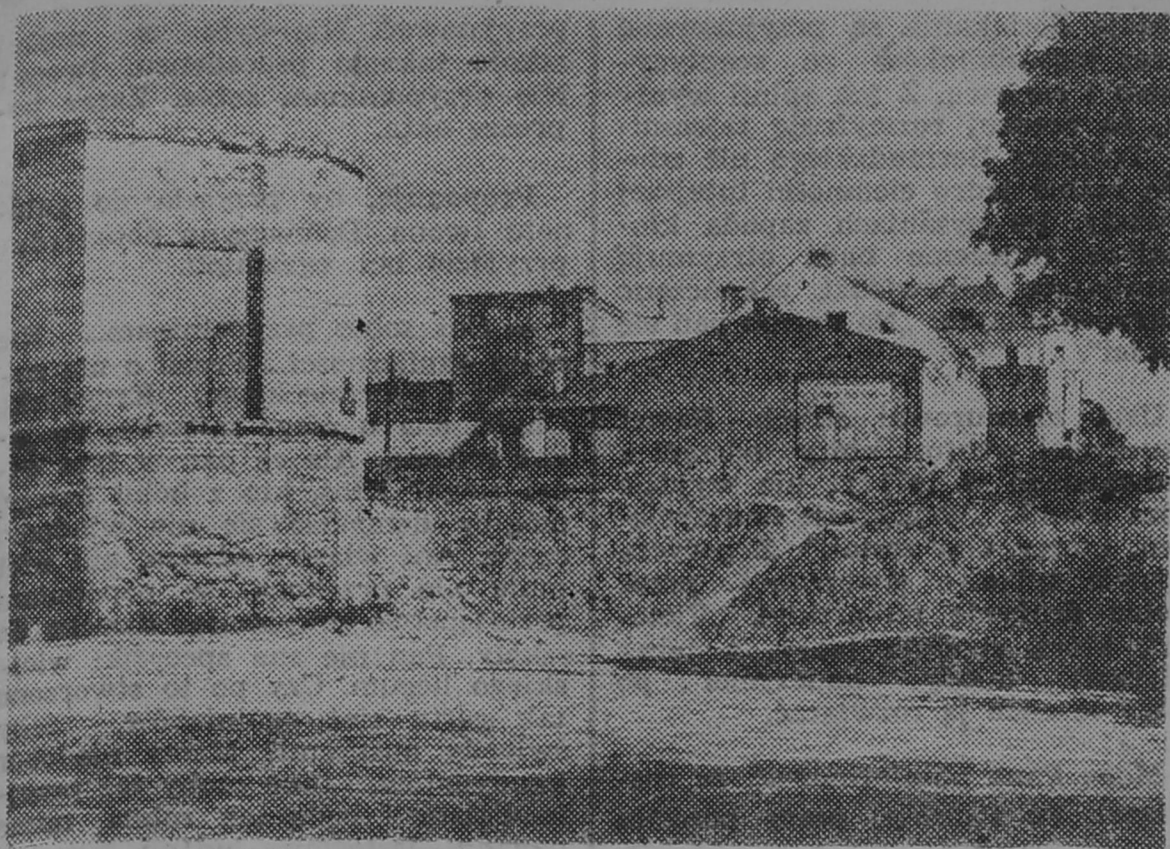
Otóż przed dwoma laty mój mąż zginął w wypadku. Wraz z trojgiem dzieci w szkolnym wieku znalazłam się w bardzo ciężkich warunkach. Byłam przerażona. Nie wiedziałam, co począć i jak ułożyć życie. I wtedy przyszedł nam z pomocą zakład pracy męża — Przedsiębiorstwo Sprzętu i Transportu Wodno-Melioracyjnego w Białymstoku, Rejonowa Ekspozytura w Łomży. Kilkakrotnie przydzielił zapomogę pieniężną, podtrzymał na duchu serdeczną korespondencję. Obecnie starsza córka otrzymała książeczkę mieszkaniową z wkładem 72 000 złotych, na który sama nigdy bym się nie zdobyła.

Za tę serdeczną pamięć gorąco dziękuję wszystkim pracownikom.

KAZIMIERA FRĄCKIEWICZ
ŁOMŻA

sensacje





ŁOMŻA



TEKST I ZDJĘCIA
GABORĄ LÖRINCZEGO



Założnikiem miasta było ogromne grodzisko, położone nad załosem Narwi. Pierwsza wzmianka o Łomży pochodzi z 1400 roku. W 1418 otrzymało prawa miejskie chełmińskie. Od 1526 było już miastem królewskim, centrum administracyjnym, politycznym, kulturalnym i religijnym wschodniego Mazowsza. Odbiwały się tu sądy grodzkie i ziemskie, zjazdy i sejmiki. W XVI wieku słynęło z dobrze rozwiniętego handlu, przemysłu i rzemiosła. Posiadało już wodociąg. Liczba ludności wynosiła 3300 (więcej na Mazowszu miały tylko Warszawa i Przasnysz). W roku 1826 władze miejskie sprowadziły z Wielkopolski i Pomorza 18 sukienników, tworząc załóżki przemysłu lnianego i bawełnianego. W tym samym roku rozpoczęła się budowa klasycystycznego ratusza i nowej poczty. W 1867 Łomża została głównym miastem guberni, a po I wojnie światowej spadła do rządu miast powiatowych województwa białostockiego. Od 1925 roku stała się siedzibą biskupstwa nowo utworzonej diecezji łomżyńskiej. W 1939 dziesięć dni toczyły się na linii Narwi zacięte boje żołnierzy 33 Pułku Piechoty Strzelców Kurpiowskich pod dowództwem ppłk. Lucjana Stanka z 19 korpusu pancernym gen. Guderiana. Miasto zostało wyzwolone 13 września 1944 r. przez oddziały „Dywizji Białostockiej” Armii Czerwonej. Dynamiczny rozwój Łomży nastąpił po 1962 r., kiedy to odbudowano obiekty zabytkowe i powstały pierwsze osiedla mieszkaniowe: im. Waltera i przy Zakładach Przemysłu Ziemiaczanego, uruchomionych dwa lata później. Po nich ruszyły: Zakład Jajczarsko-Droblarski, Białostockie Zakłady Piwowarskie (1968), Rozlewnia Gazu Płynnego „Korgaz” (1969), Zakład nr 2 Białostockiej Fabryki Mebli (1972). Budowę największego zakładu — Przemysłu Bawełnianego „Narew” — rozpoczęto 1968 roku, a ukończono w 1976, wraz z osiedlem mieszkaniowym im. 25-lecia PRL. W 1974 roku Łomża została odznaczona Orderem Sztandaru Pracy II klasy.

40 LAT MINĘŁO...

kontakty kontaktów

Od 8 lat staram się o przyjęcie do ZBoWiD-u, ale bez rezultatu. Uważam, że moja sprawa nie jest sumienne i sprawiedliwie zbadana przez Zarząd Główny, a trzykrotna negatywna decyzja bardzo mnie boli. W czasie ostatniej wojny zostałem wywieziony do Prus Wschodnich na przymusowe roboty. 8.02.1943 r., we wsi Trotenau, aresztowano mnie za udzielenie pomocy w ucieczce dwóm Białorusinom spod Władystoku i przeznaczono do obozu koncentracyjnego w Gross Rosen (nr obozowy 975). Lecz już 20.07.1943 r. zostałem przewieziony do obozu Arbeitslager Charlottengrube w Rydułtowym — filii oświęcimskiej (nr obozowy 795). Celę dzieliłem z Żydami z Kępna, którzy trafili tu z obozu zagłady w Oświęcimiu. W tym obozie przebywałem do momentu brawurowej ucieczki (17.11.1943 r.) z kopalni, czym ocaliłem życie. W czasie pobytu w tym obozie więźniowie nie otrzymali żadnych dokumentów. Nie ma też spisów więźniów, które — według opinii Muzeum w Oświęcimiu — zniszczono dla zatarcia śladów zbrodni. Posiadam więc tylko dokumenty zastępcze — równie wiarygodne, jak oryginalne. Są nimi: oświadczenie współwięźnia, „Arbeitskarta” odebrana mi w momencie aresztowania, a odnaleziona w kopalni węgla w Rydułtowym (odnotowano w niej aresztowanie i przypisanie mi numeru obozowego) oraz zaświadczenie o ucieczce z kopalni węgla „Charlotte” w Rydułtowym wydane przez Archiwum w Pszczynie.

Muzeum w Oświęcimiu — na podstawie zeznań dwóch świadków — przyjęło, iż obóz w Rydułtowym powstał dopiero we wrześniu 1944 r. Natomiast tutejsi górnicy, którzy byli świadkami zbrodni popełnianych na więźniach przez oddziały SS wystawili pomnik w 1975 roku, na którym napis głosi iż: „Na tym terenie w latach 1942—1945 znajdowały się filie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Więźniowie pracowali ponad siły w kopalni Rydułtów i mordowani byli pod ścianą śmierci [...]”. Jako były więzień potwierdzam prawdziwość tych dat i faktów, i nie jestem w stanie zgodzić się z opinią Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, według której obóz, gdzie mordowano ludzi, i w którym sam spędziłem kilka miesięcy długich jak wieczność, wcale nie istniał. Tak samo niewiarygodne i fałszywe jest dla mnie uzasadnienie odmowy przyjęcia mnie w poczet członków ZBoWiD-u.

W obozach straciłem zdrowie. Bicie, ciężka praca w kopalni i głód nadwyrężyły organizm. Dziś jestem po dwóch poważnych operacjach.

23 października 1975 roku rząd wydał ustawę w celu ulżenia życiu wszystkich więźniów hitlerizmu, którzy doczekali wolności. Lecz, niestety, za bohaterów uznano tych, którzy w Rydułtowym zginęli, ci nieliczni, co przeżyli — już nimi nie są.

TADEUSZ BRZECZKO
ŁOMŻA

W odpowiedzi na list Zarząd Główny Związku Bojowników o Wolność i Demokrację uprzejmie informuje, że sprawa ob. Tadeusza Brzeczko absorbuje różne instancje ZBoWiD od 1981 roku. Była już wielokrotnie rozpatrywana.

Ponieważ wszystkie decyzje były odmowne, ob. Brzeczko odwołał się od decyzji ZG ZBoWiD do Naczelnego Sądu Administracyjnego, który wyrokiem z 18.10.1983 r. decyzję tę jednak podtrzymał.

CZESŁAW ZABOROWSKI
kierownik Działu Interwencji
Zarządu Głównego ZBoWiD

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

mawiają o sobie: „U nas niedobre ludzie”? W takim to miasteczku istnieje od 1948 roku Liceum, którego sława wykracza daleko poza granice województwa.

migocące światło

— Stworzyliśmy życzliwą dziecku szkołę — Maria Stopczyńska, pełna uroku dyrektorka Liceum oraz gminny dyrektor szkół w jednej osobie (do niedawna także dyrektorka szkoły podstawowej), rozpoczęła pracę w Jedwabnem w 1954 roku, po przeniesieniu z Kolna z powodu jakiegoś „błędu młodości”. — Rada Pedagogiczna jest świetnie przygotowana i pod względem fachowym, i moralnym. Ucznia traktujemy jako roślinkę powierzającą naszym sercom i umysłom. Dobrze byłoby, gdyby dostrzegano wiejskie liceum; jego rolę kulturotwórczą. Ze 140 nauczycieli na terenie gminy ponad 70 to nasi absolwenci. Dostarczamy kadr miejscowym instytucjom i urzędom. W Liceum pracuje 8 nauczycieli (na 12 pełnych etatów), którzy maturę zrobili w murach tej szkoły. Mamy prężne harcerstwo. Dwukrotnie zajęliśmy pierwsze miejsce w województwie w pracach społecznych. Nie odczuwamy bolączek, które utrudniałyby nam życie. Może tylko brak sali gimnastycznej...

Zastępca Gminnego dyrektora, Anna Mirska, oraz dyrektor szkoły podstawowej, Jan Borowski (obie szkoły mieszczą się w tym samym, przedwojennym budynku), nie wydłużyli listy utrapień „alma mater”. — Dokucza nam tylko — mówi pani Mirska — migotanie światła. Jesteśmy na jednej linii z tartakiem...

„Victoria”

Nie migocące światło mnie zaintrygowało, a sala gimnastyczna. „Stworzono fundusz budowy sali — tak brzmiał pierwszy sygnał — płacił nań mój dziadek, potem ojciec, a wreszcie ja, kończąc Liceum w 1976 roku, dałem 500 złotych. Co stało się z pieniędzmi?”

Miejsce, gdzie miała stanąć sala, pokazuje mi jeden z uczniów obrysując kijem prostokąt fundamentów, które dawno skryła trawa.

— Istniał taki fundusz — potwierdza dyrektorka — ale ostatnie wpłaty były przyjmowane gdzieś z dziesięć lat temu. To dawne dzieje. Pojawiła się konieczność dobudowy skrzydła do budynku szkolnego i pieniądze przeznaczone na ten cel. Nie miałam z nimi do czynienia, ale jestem przekonana, że poprzedni dyrektor, Mazur, wykorzystał je rzetelnie. Na pewno popełnił błąd nie pozostawiając śladu w dokumentacji. Sala jest nam potrzebna jak karawanie oaza, ale ja już nie miałam siły dalej o nią walczyć.

Ryszard Riedel, ówczesny przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego (aptekarz), twierdzi, że sala nie wyrosła ponad fundamenty z powodu sprzeciwu byłego inspektora szkolnego, Józefa Tragi. — Przyszedłem tam w 1966 roku — tłumaczy swą decyzję Traga — fundamenty już były zarośnięte. To, co chcieli postawić, przypominało kurnik. Taka była opinia fachowców. W tym czasie pilniejsza okazała się rozbudowa szkoły. Zajęcia trwały do 21.00.

Skrzydło zostało ukończone w 1968 roku. W 1969 rozpoczęły się w nim zajęcia. Dyrektor Mazur stanowczo zapewnia, że zbieranie pieniędzy zamyka się na 1970. — Te sprawy były badane przez organa finansowe — kończy. Przypadek sprawia, że w jednym z domów w Jedwabnem natrafiam na 34 kwitariusze z wpłatami uczniów na „rozbudowę szkoły” oraz na „budowę sali gimnastycznej” o łącznej kwocie 126 477 złotych. Kwitariusze pochodzą z 1973 roku...

Moje dociekania są przyjmowane przez jedwabniaków ze sceptycyzmem i rezerwą. Z ich opinii wynika, że prędzej rozszyfruję tajemnicę Trójkąta Bermudzkiego niż zdolam rozbijać jąro ciemności tutejszej oświaty. Po pytaniach zapada kłopotliwe milczenie bądź otrzymuję wymijające odpowiedzi, zakończone sakramentalnym: „Na darmo pan się trudzi”.

Usta zasznurował strach. Nawet nauczyciel wuefu, który odszedł z Jedwabnego w 1971 r., nie wyjdzie poza zdanie: „Współczuję nauczycielom, którzy tam zostali”. Z goryczą opowie tylko o stworzonej przez siebie drużynie piłkarskiej, „Victorii”, która zbierała laury, a teraz (słyszał) młody nauczyciel po AWF-ie chce ją rozwiązać.

Mogę Pana poinformować, że rozwiązał. Po Pańskiej pracy pozostał tylko, nachlapany farbą, napis „Victoria” na ścianie murowanej wygódki, powstałej w miejsce sali gimnastycznej, gdyż niemal na środku boiska. Pozdrawiają Pana byli zawodnicy, którzy teraz ofiarnie grają w barwach monopolu spirytusowego w miejscowej lux-knajpie „Parkowa”.

spadochroniarze

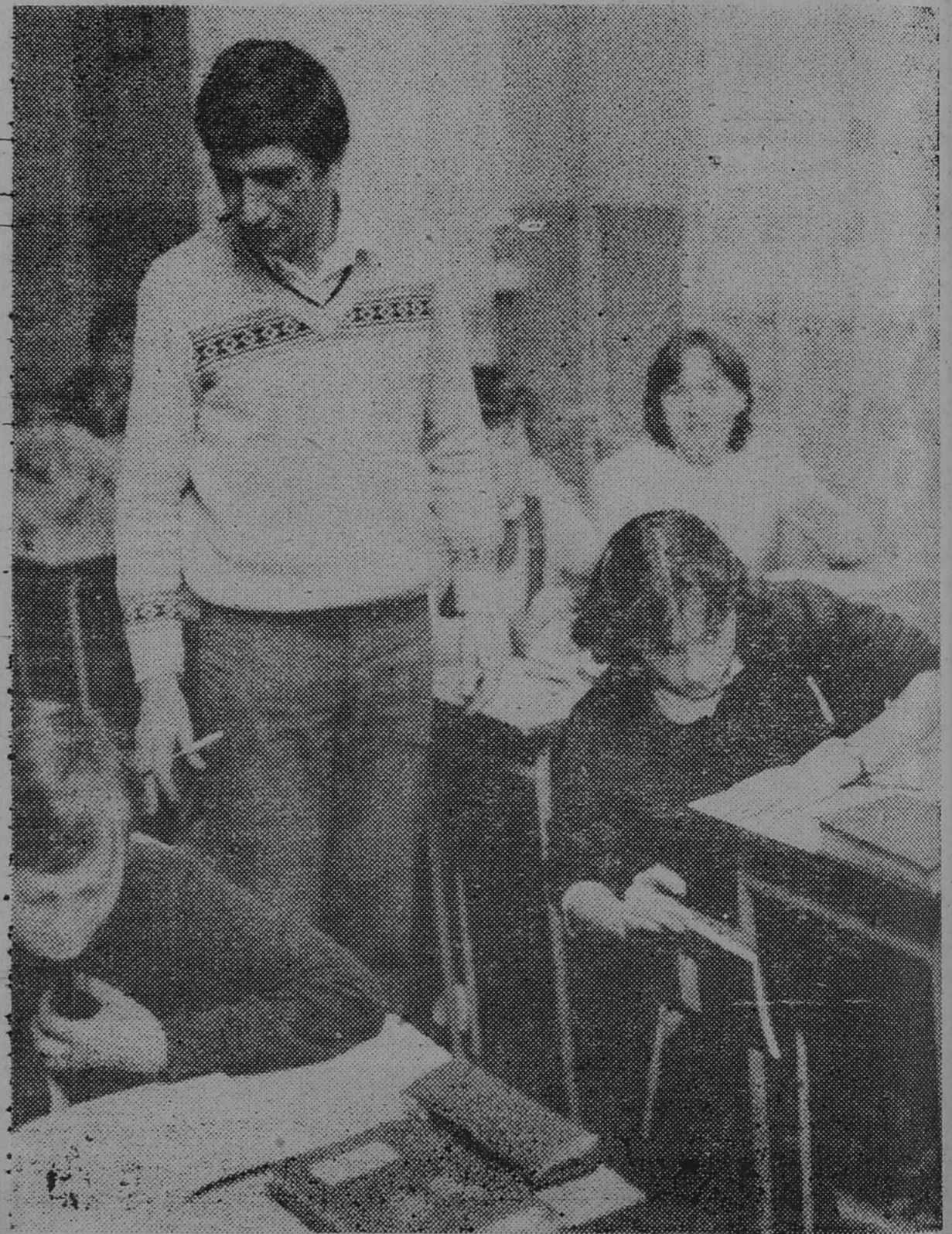
Ze skąpych informacji, kapiących w rozmowach jak krople z nieśszczelnego kranu, powoli kształtuje się obraz „rzeczypospolitej oświatowej” w Jedwabnem. Są to jednak ogólniki. Niespodziewanie zgłasza

przyjmovać. Nie było w naszej szkole takiego precedensu. Iwona? Nie przypominam sobie. Zaraz poproszę akta.

Proponuję, by przyszła do gabinetu Iwona. Dziewczyna potwierdza przyjęcie bez egzaminu.

— Coś sobie przypominam... Nie znam okoliczności... Prosił o nią nauczyciel niemieckiego, Krzywicki. Chyba ona u niego mieszka. To jakaś rodzina. Ale co pan w tym widzi złego? Ktoś, kto z boku patrzy, mógłby domyślać się nie wiadomo czego. Ani własna władza, ani nikt mnie nie przekona, że popełniłam przestępstwo przyjmując dziecko do szkoły. Pan nie zna specyfiki wiejskiego liceum. Czy po to stworzono tak gęstą sieć ogólniaków, żeby świeciły pustkami? Mamy niedobór kandydatów. Inne osoby też przyjmowałam i będę tak robiła, mimo nagany. Jesteśmy ludźmi humanitarnymi. Nie mam serca odmówić, gdy przyjeżdża do mnie splakana matka. Mój profesor nauczył mnie takiej dewizy: „Człowiek żyje po to, żeby pomóc przeżyć drugiemu człowiekowi”. Formalnie pan ma rację. Moralnie — ja. Postąpiłabym nieetycznie, gdybym przyjęła za pieniądze, ale ani krzty mojego interesu w tym nie było. Absolutnie.

Informacja „tajemniczego” okazała się stuprocentowa. Z rozmowy z dyrektorką wynoszę cenne wskazówki: — Chyba wiem, kto o tym panu powiedział; Leśniewska... — szuka w moich oczach potwierdzenia sprawy „przecieku”. — Dopóki była moją zastępczynią, wszystko układało się jak najlepiej; przed koń-



się do mnie tajemniczy młody człowiek. Nie podaje nawet imienia, za to przekazuje wiadomość, która stanie się kamyczkiem uruchamiającym lawinę.

Młody człowiek mówi o praktykowanym w Jedwabnem przyjmowaniu uczniów z innych szkół, którzy nie dali sobie rady w poprzednim miejscu, oraz o przypadkach przyjęć bez egzaminu wstępnego. Podaje konkretny przykład. Dziewczyna rozpoczęła naukę w Zespole Doskonalenia Zawodowego w Łomży w specjalności krawieckiej. Po tygodniu zabrała papiery.

— Owszem, drugorocznicy z innych szkół licealnych przychodzili do nas na mocy zarządzenia Kuratorium — wyjaśnia dyrektorka Stopczyńska. — Nie, bez egzaminu nie wolno nam

cem kadencji zaczęła atakować. Wyślala anonim do KW na jednego z nauczycieli. Nie czułam się na siłach, aby prowadzić dochodzenie. Zaproszono mnie do Komitetu i sprawa została wyjaśniona. Wówczas zaczęła wyciągać co innego. Złożyła skargę do Kuratorium bez mojej wiedzy. Sprawę pieniędzy na salę gimnastyczną też wyciągnęła. Przyjechała komisja, sprawę badał prokurator. Otrzymałam pismo mówiące, że nie dostrzeżono cienia cech, które nadawałyby naszej działalności charakter przestępczy. Jeśli były jakieś niedopatrzności, to natury formalnej.

Zaroiło się od znaków zapytania. Czego dotyczyło dochodzenie? O czym mówił anonim? Co kryło się za rozgrywką między dyrektorką a jej zastępczynią? Barwny oleodruk,

namalowany przez dyrektorkę podczas pierwszej rozmowy, zaczynał płowieć.

zakazany rewir

— Nie życzę sobie, by po 30 latach pracy źle o mnie pisano! — z groźbą w głosie mówi dyrektorka wręczając mi listę „spadłych z nieba” w ubiegłym i bieżącym roku szkolnym. W 1982/83 przyjęła w ten sposób 12 osób: jedną uczennicę bez egzaminu wstępnego (Iwonę) i dwie do klasy III — jedną do tej klasy niepromowaną z adnotacją dyrektora Liceum w Łomży: „uczennica mało zdolna”, drugą „wycofaną” z Warszawy z dwiema ocenami niedostatecznymi na półroczu.

Dłuższa jest lista „spadochroniarzy” przyjętych w roku szkolnym 1983/84 — 36 osób. Wśród nich 9 to „tabula rasa”: nie ma ich akt. Do pierwszej klasy przyjęto uczennicę, która dwukrotnie oblała „wieszczorówkę” i — zdaniem dyrektora LO w Łomży, Zdanowicza — nie jest w stanie pokonać licealnego progu. Również do tej klasy trafiły aż trzy uczennice, które w poprzednich szkołach jechały na dwójkach.

Humanitarna „alma mater” sama już się gubi, skąd przybyły nowe nabytki. Zapytania o oceny z poprzedniej szkoły dwóch uczennic trafiają do LO w Łomży, gdy dziewczęta przeszły z ekonomika z

kilkoma ocenami niedostatecznymi. Niejasny jest status pięciu innych uczniów. Zastanawiają także miejscowości, z których „spadochroniarze” trafiali do Jedwabnego: Warszawa, Wołomin, Pisz, Ostrołęka... W tym zestawie są i tacy, którzy zdążyli już zaliczyć kilka szkół.

Jeden z nauczycieli przekonuje mnie, że taki napływ spowodowany jest... nietolerancją katolicko nastawionych nauczycieli w innych szkołach, a w ich Liceum panuje duch swobód wyznaniowych. Bardziej prozaiczny jest Goliński, który pełnił obowiązki inspektora do 1975 r.: — Nieporozumieniem jest utrzymywanie karłowatego Liceum w Jedwabnem, gdy pod bokiem jest świetne w Łomży, które boryka się z odpowiednim naborem. Powstała sytuacja paradoksalna: zdolniejsze dzieci zdawały do Łomży, a te, które tu odpadły, kierowali do Jedwabnego. Ale niechby ktoś spróbował odebrać Jedwabnemu Liceum! W tej szkole dokonuje się podwójnie negatywna selekcja, gdyż najslabsi absolwenci, w myśl powiedzenia: „Jak nie nie umiesz, ucz innych”, są zatrudniani jako nauczyciele.

— Decyzja likwidacji była w końcu lat siedemdziesiątych — kurator, Stanisław Krasowski, jest wstrętniejszy w swojej opinii — ale spotkała się z dużym niezadowoleniem miejscowego aktywu. Zmieniły się też kryteria władz centralnych:

umacniać, a nie likwidować. Dlatego z jednociągowego stworzyliśmy tam liceum dwuciągowe.

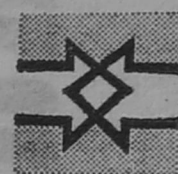
— Wpychano mi matolów do klasy — tłumaczy swoje odejście z Jedwabnego, uczący tu, w latach 1957—69, Maliszewski, matematyk, teraz docent Politechniki Białostockiej. — Zdenerwowało mnie to. Nie dałem się gwałcić kolegom, którzy naciskali, żebym przepuszczał ewidentne miernoty. Wariata ze mnie robili. Tak urządzali egzaminy wstępne, żebym nie mógł ocenić ich pupiłków. Ale trudno walczyć z obyczajami. Przyszli raz do mnie rodzic i wypycha mi 500 złotych, bo córka ma zdawać. Tłumaczę, że jak będzie umiała, to zda. „Jeśli pan nie chce przyjąć, to znaczy: chce pan oblać”. W żadnej instytucji w Jedwabnem nie nie wskórasz bez łapówki. Byłem naiwny jak dziecko, kiedy sądziłem, że zmienię atmosferę w tej szkole. Taki, który próbuje z tym walczyć, uchodzi za nienormalnego.

Wszedłem w zakazany obcy rewir. Subtelnie dał mi to do zrozumienia nauczyciel niemieckiego, Krzywicki; zapytał, czy wiem, że uczy się u nich córka Prezesa X. — Nie zależy ci na pracy? — uprzytomniał mi konsekwencje detektywistycznych szperań.

Nazwiska nauczycieli z J. zostały zmienione

Fot. STANISŁAW HOROSZ

spiecia



9

KONTAKTY
23 IX 1984

Od dwóch lat rolnicy ze wsi Kuzie i Popiołki bezskutecznie proszą naczelnika gminy Zbójna o ładowacz, niezbędny do naprawy — prowadzącej na łaki — drogi. Około 50 rolników łamie na wędłach deficytowe kosiarki i grabarki. Niektórzy pukają się w czołki. Tymczasem naczelnik czeka na kolejne wybory.

Dlaczego w łomżyńskich miastach brak wędlin i czekolady — pytają pan Z.K. i jego dzieci. Dlaczego 200 tysięcy rzeźników państwowych otrzymuje miesięcznie po 5,5 kilograma pozakartkowego mięsa, a 29 tysięcy państwowych cukierników pobiera rocznie 59 ton reglamentowanych, ale nie dla nich, wyrobów czekoladowych — pytają inni. Ale kogo? Z Berdyczowa odpowiedź raczej nie nadejdzie.

Trasa Ciechanowiec—Siemiatyże, lasy za wsią Malec, 24 sierpnia o około południu. Dwa samochody, kilka butelek alkoholu, zażarta dyskusja: „Pan nie p... bo kierowniczą rolę w tym narodzie spełnia partia.” Im dalej w las, tym klarowniejsze formy kształcenia.

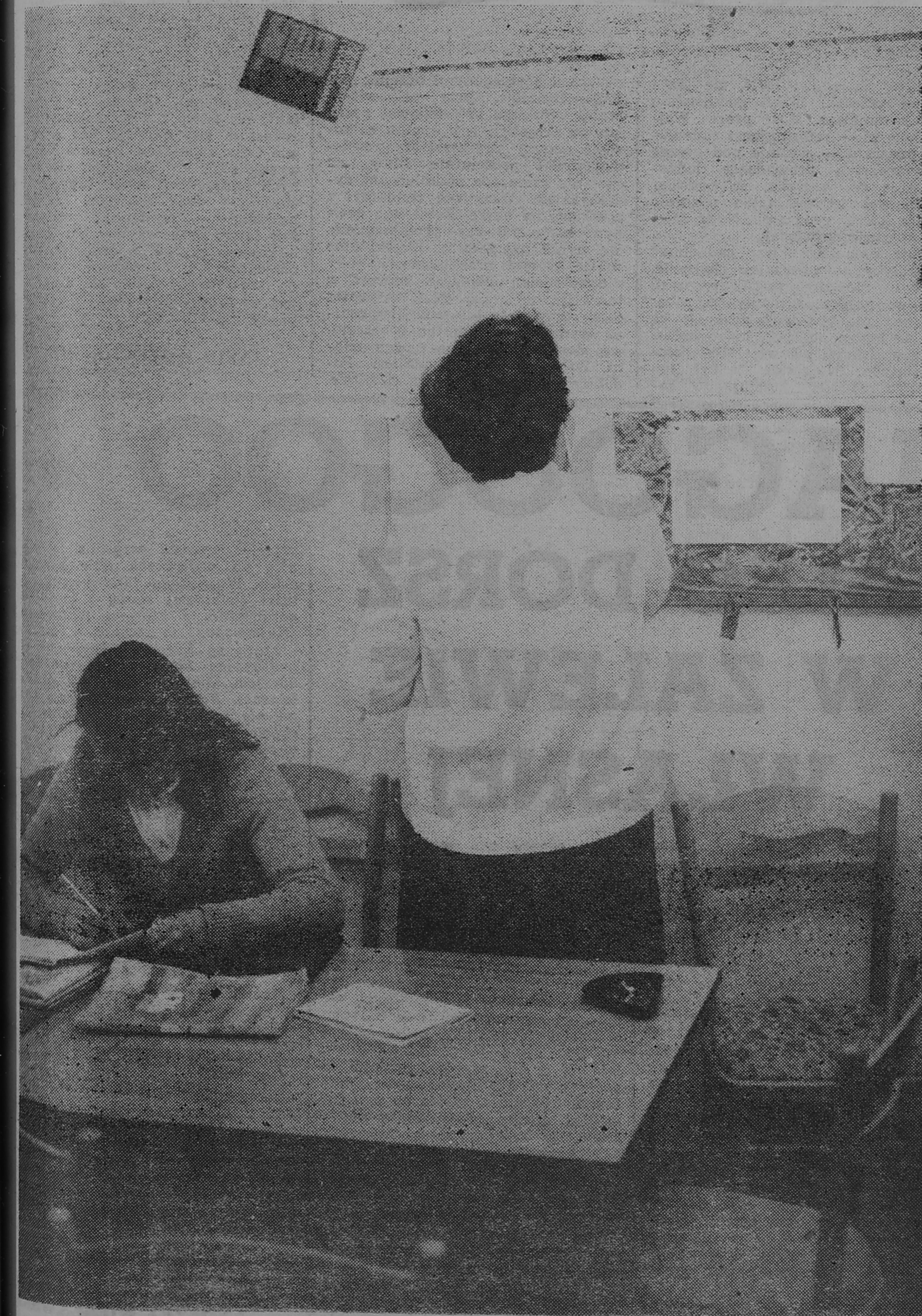
Zgodnie z rozkładem — jedyny pociąg z Łomży do Warszawy jedzie 4 godziny 25 minut. Ten sam skład po południu przebywa drogę powrotną o pół godziny dłużej. Tym, którzy twierdzą, że rozkład jazdy jest do łupu, zwracamy uwagę na rozkład zaopatrzenia. Łufts jest w Łomży na pewno więcej.

Z dwóch hoteli Łomży — „Poloneza” oraz „Startu” — najlepiej, o czym świadczą bywalcy, prosperuje... trzeci. Nocleg z bezpłatnym dowozem karetką MO kosztuje tu od łebka dwa tysiące złotych. Jeden warunek: trzeba tyknąć ponad miarę i trochę porozrabiać. Oplata w kasie Urzędu Miasta. Już w domu dodatkowe atrakcje zapewnia żona.

Trzeciego maja brygada Urzędu Poczta-Telekomunikacyjnego w Zambrowie wykopała na polu podmieskiego rolnika stumetrowy rów. Przy okazji zniszczyła kilka arów jęczmienia. Za straty nie zapłaciła, rów pozostał. Jeszcze raz sprawdziły się znane tezy: podkopywać to my umiemy, zaś „odkrycie” nie oznacza „zamknięcia”.

Piętnastego sierpnia jedna z mieszkanki Łomży kupiła w blaszaku przy ul. Wojska Polskiego kiełbasę o wdzięcznej nazwie „szynkowa”. Po trzech dniach leżenia w lodówce produkt należało zwać „zieloną”. P.T. Klientkę z przykrością zawiadamiamy, że miejscowa masarnia techniki na kiełbasę „teczową” jeszcze nie opanowała.

Nocne uroki Sniadowa rozjaśnia tylko jedna latarnia. Złośliwi szepczą, że jest to efekt opanowania tamtejszej władzy przez kobiety. Wiadomo, panie wieczorowo-nocną porą wrzuszają najrozkoszniej właśnie w półmroku.



SWIAT SUPRAPARCYJALNY

gaduchny

Jestem wyjątkiem! Relacjonowane w „Antenie” badania popularności poszczególnych audycji telewizyjnych dowodzą, że najchętniej oglądamy seriale, atrakcyjne filmy, dobre widowiska rozrywkowe itd. Najmniej popularne są wszelkiego rodzaju „gaduchny”. Tym mianem lud polski określa różne dyskusje, półoficjalne wystąpienia, rozmowy z „drabiniaszami”, czyli przedstawicielami „szczebli”, najogólniej rzecz biorąc — rzeczy osłuchane i opatrzone. Warto zaznaczyć, żeby nie było żadnych nie-domówień lub prób nieuczciwej polemiki, posadzeń o anarchizm itd., że „gaduchni” (w ludowym mniemaniu) nie są oficjalne wystąpienia, przemówienia ani „Monitor Rządowy” czy sprawozdania z Sejmu — audycje stricte polityczne, których nie ma zresztą za dużo, a które, w pewnych okolicznościach, są bardzo oczekiwane.

Od połowy lat siedemdziesiątych TVP zrobiła się bardzo rozgadana. Kulminacyjnym okresem był, oczywiście, rok 1981, ale i dziś podaż gadulstwa znacznie przewyższa popyt. Daleko nam, oczywiście, do niektórych programów rządowej tele-

wizji w Szwecji i RFN, ale też i szanse ucieczki przed gadulstwem mamy mniejsze. Może prezes Wojciechowski — reformując i zmieniając program — weźmie pod uwagę doświadczenia prowadzące jednoznacznie do wniosku, że nadmiar gadających głosów tylko pozornie obniża koszty programu. Nuda zawsze kosztuje najwięcej.

Moje narzekania na „gaduchny” wypadłyby na zwyczajne gładzenie, gdybym nie stwierdził z prostych faktów: najgorsze mamy za sobą; obecne „przebitkowe” dyskusje są jednak lepsze od tych, które królowały w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. „Najgorsze” to był „ten facet” z rzadkim, „kolejarskim” za-

rostem, i rozbieganymi oczami; powódź banałów, przy całkowitym braku uśmiechu. Występował przed lub po projekcji i w sposób całkowicie naiwny streszczał czy problematyzował prosiutkie filmy, na ogół nie grzeszące nadmiernym dydaktyzmem. Właściwie tłumaczył z polskiego na nasze. Robił to z pewnym zacięciem czy przekonaniem, ale wynik był żalony. Skutki inne niż te, których oczekiwano.

Spróbujcie, oglądając koncert w telewizji, wyłączyć głos; wówczas ruchy dyrygenta lub muzyków zaczęły wydawać się smutne i bezcelowe. Została naruszona pewna miara. Zubożono system odbioru. Podobnie jest z mówieniem o filmie.

Wszystko w porządku, gdy oceniamy film. Wypowiadamy wtedy tylko swoje przekonanie i poglądy. Ale streszczanie filmu to zajęcie beznadziejne... Można streścić akcję lub fabułę. Nie sposób opowiedzieć następstwa obrazów. Podstawowa jednostka języka filmowego — kadr — jest bowiem bardziej skomplikowana niż zdania. Kadr trudno wypowiedzieć słowem. Taka próba oznacza zubożenie systemu odbioru.

Skoro mowa o filmie — trzeba stwierdzić, że wiele rzeczy można było zarzucić dyskusjom z udziałem Zygmunta Kałużyńskiego, ale nie nudę. Sądzę, że i dziś wielu Kałużyńskich w swojej najlepszej formie uratowałoby program przed nadmiarem pustej gadaniny. Niestety, teraz panuje „szkoła przebitkowa”. Wygląda to mniej więcej tak: zbliżenie twarzy, „przebitka” na całą postać i powrót do kadru „gadającej głowy”, która wygłasza 3—5 minutowe spicze. Później następuje inna „przebitka” i następna wypowiedź. Wypowiedzi nie są uzależnione od siebie. Nie ma prób sztucznego wywołania dyskusji. Ludzie mówią dłużej niż w systemie monologu rozpisanego na głosy. Ma to swoje dobre strony. Uczestnicy audycji mogą wypowiadać się bardziej swobodnie, dokładniej uzasadniać swe poglądy i operować przykładami, a nie ogólnikowymi stwierdzeniami.

Niestety, kamera bezlitośnie obnaża również wady „systemu przebitkowego”: często słowny wykład bez aktorstwa, ilustracyjnego obrazu czy oczekiwanych doniosłych treści społecznych jest klasycznym „gaduchną” — rzeczą ogromnie niepopularną; naturalnie, w skali telewizyjnej.

Należę do niezbyt licznej grupy osób oglądających takie telewizyjne pogadanki. Zastanawia mnie fakt, jak łatwo z nimi polemizować, zwłaszcza gdy audycja jest właściwie tylko montażem poszczególnych wypowiedzi, nieporządkowanych nadzwyczajnej myśli, lub gdy w studio — obok znawców jakiegoś problemu — występują amatorzy. Jak łatwo przy wygłaszaniu „przebitkowego exposé” o ewierśprawdy, półprawdy, które docierają jednak do 200—300 000 ludzi. A dla nich jest to często jedyny kontakt z nauką czy kulturą.

Prof.
JASIO WSZECHSTRONNY
Rys. Zbigniewa Szulca



KAJAGOOGOO

ALBO DORSZ
W ZALEWIE
WŁASNEJ

Wróciłem niedawno z Olsztyna, gdzie przed niejakim czasem młodzież poci obojga — w wieku przed- i pomaturalnym — ogłosiła żałobę w związku z zerwaniem rozmów oficjalnych na szczeblu Olsztyńskiego „Estrada” — „Kajagoo”. To drugie jest, modnym obecnie, angielskim zespołem wokalmuzyycznym, o czym (na wszelki wypadek) informuje P.T. Czytelników, wychodząc ze słusznego, jak sądzę, założenia, że nie każdy musi akurat o tym wiedzieć. Otóż ów zespół miał wystąpić właśnie w Olsztynie, ale nie wystąpił z powodów, o których będzie niżej.

W dzień po zerwaniu rozmów „Gazeta Olsztyńska” zamieściła obszerny artykuł, z którego dowiadujemy się, jakie to — niemożliwe do spełnienia — warunki postawili angielscy (czterooosobowi) artyści, plus ileś tam jeszcze osób z ich podręcznej obsługi. Wymagania szły jakby w dwóch różnych kierunkach: były natury technicznej oraz kulinarnej. Z technicznych należy wymienić: zadanie zapewnienia przez miejscowych organizatorów porządku sali, prawdziwej estrady, ogrodzonej od strony publiczności, internisty z praktyką wśród widzów, a także laryngologa pod telefonem na wypadek, gdyby któremś z artystów wysiadły struny głosowe, co — zważywszy sposób uprawiania sztuki przez zagranicznych młodzieńców — jest całkiem prawdopodobne. Mówili również o potrzebie zorganizowania parkingu strzeżonego dla dwóch 17-metrowych ciągników siodłowych z naczepami, dwóch autobusów i tyluż samochodów osobowych.

Jednakże większa część spornego dokumentu, który wyszedł spod pió-

ra obrotowego impresaria „Kajagoo” i liczył sobie stron 11, poświęcona była żądaniom czysto kulinarnym. I tak: a) na godzinę 14.00 do garderoby zespołu miały być dostarczone kanapki z mięsem wołowym (dla 13 osób), kurczakiem pieczonym, serem typu cheddar, jajami, ewentualnie tuńczykiem; do tego krakersy, ketchup (6 butelek), śmietana pełnotłusta, majonez, sól i pieprz czarny, koniecznie mielony; b) wcześniej miało być jeszcze śniadanie dla 20 osób, składające się z jaj sadzonych, boczku, fasolki w sosie pomidorowym, pomidorów, tostów z pieczywa białego i ciemnego, dżemów, kawy prawdziwej, herbaty, świeżego mleka, płatków owsianych oraz soczków — pomarańczowego i grapefruitowego; c) oraz d) e) i f) opuszczam, jako że punkty te dotyczyły podwieczorku, kolacji i czegoś tam jeszcze — w powyższym stylu i wyborze menu, więc niczego nowego do sprawy to nie wniesie.

Artykuł kończy się osobistą refleksją autora: „Przyznam, iż nie

mam ochoty za swoje pieniądze fundować komuś wyzerki [...]. „Kajagoo” obejdzie się smakiem. Przynajmniej w Olsztynie. A ja pędzę na obiad. Od samej wyliczanki poczułem ssanie w żołądku”.

Cale to wydarzenie (może nie historyczne, ale przecież istotne) musi skłaniać do nieco poszerzonych refleksji. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby idoli zagnano w Olsztynie do żniw, które akurat były w pełni. Niechby zobaczyli, jak się u nas pracuje, na ogół w pocie czoła i o suchej gębie. Jednakże, być może, warto by wziąć i to pod uwagę, że pochodzą oni z kraju, w którym talerz owsianki bądź kanapka z kurczakiem podane w odpowiedniej porze — nie stanowią szczególnego problemu. U nas takie wymagania szokują. „Pagart”, zamieszany w olsztyńską afere, mógł ich przelknąć. Szacowna ta firma najchętniej widziałaby Anglików w którychś z pachnących swoich barów mlecznych. Pod tym względem ma ona bogatą tradycję i niełiche doświadczenia, wysyła

przecież naszych artystów za granicę na warunkach iście pionierskich. Wyjeżdżają filharmonicy, artyści światowej sławy i klasy (w porównaniu z którymi jakieś tam „Kajagoo” to zwykła betka), no i krążą po Europie odżywiając się podsuszoną kiełbasą litewską oraz dorszem konserwowym w zalewie własnej. Nawet wody sodowej nikt im nie poda w przerwie koncertu, chociaż dmuchają równie dziarsko w swoje trąby, jak zagraniczni młodzieńcy, i tak samo ślina im zasycha na podniebieniu. Nie można wykluczyć przypuszczenia, że impresario „Kajagoo” zetknął się kiedyś z takim polskim taborem muzycznym, gotującym w jakimś podłym hoteliku żupę ogonową z turebki, dzięki czemu (i na wszelki wypadek) podsuwa nam teraz bezwzględnie razem z umową 11-stronnicowy załącznik, który wyszczególnia wszystko, łącznie z solą i czarnym pieprzem, mielonym koniecznie.

Jednakże jest w tym wszystkim jakaś niezrozumiała tajemnica, której natury wyjaśnić sobie nie potrafimy. Przecież ten zespół występował w innych miastach naszego kraju. Czemu zatem tylko Olsztyn dał mu odpór? Czy Warszawa, mimo wszystko, wyraziła zgodę na jajo sadzone, boczku, soczki, ketchup i sól do owsianki? Jeśli tak było istotnie, to znaczy, że i u nas coś stało w tej materii zaczyna zmieniać na lepsze. Może wreszcie doczekamy czasów, gdy nasza Filharmonia Narodowa zacznie wywozić z kraju tylko kulturę — bez kulinarnych dodatków.

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

refleksje



dee fixe, czyli „natrętna myśl, pomysł stale zaprzatający umysł.” Przykład, moim zdaniem, nr 1 w Łomży to — kolej. Na świecie historia szlaków żelaznych zaczęła się w 1825 roku za sprawą Georga Stephena, na ziemiach polskich — w 1842 r. (Wrocław—Olawa), w Łomżyńskim w 1862 r. (magistrala Warszawa—Petersburg). Dymiący parowóz zrazu wśród wielu budził strach; bywało, że także lekceważące uśmieszki, z czasem — coraz powszechniej — nadzieję na przełamanie barier prowincjonalnej niemożności. Ponoć w początkach lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku udało się jeszcze mieszkańcom Suraza (z pomocą rubelków) zmienić na tyle bieg linii kolejowej, by gwizd lokomotywy nie zakłócał wiekowego spokoju. Trzydzięci lat później społeczność gubernialnej Łomży łapczywie chwyciła doniesienia o projektach nowych szlaków.

W 1891 r. warszawska „Zorza” pisała o zamiśle kolei Białystok—Stara Łomża—Ostrołęka—Mława, a więc od Kolei Petersburskiej, przez Podlasie i Mazowsze, do Kolei Nadwiślańskiej. Rok później również pociągna „Gazeta Świętaczna” potwierdziła wiadomość o tej inwestycji i dodała jeszcze projekt linii Łomża—Sniadowo—Ostrów Maz.—Malkinia. Wysocy urzędnicy i oficerowie carscy gazet polskich na ogół nie czytali, skończyło się więc na otwarciu w listopadzie 1893 r. ruchu na Kolei Nadnarwiańskiej: Łapy—Sniadowo—Ostrołęka—Ostrów Maz.—Malkinia. Pożytek z tak wytyczonego szlaku był niemal żaden, bo też nie o zaspokojenie potrzeb gospodarczych rejonu tu chodziło, lecz o przygotowania do wojny.

Łomżyniacy nie tracili nadziei. To były przecież lata zaskakujących sukcesów nauki i techniki. Guglielmo Marconi przesłał właśnie z Anglii do Farncji pierwszy telegram radiowy, bracia Orville i Wilbur Wright przygotowywali doświadczenia z aparatem latającym, a od dziewięciu lat funkcjonowało metro w Londynie. W grodzie nad Narwią zmiany następowały mierznie wolniej, za to od mrowia pla-

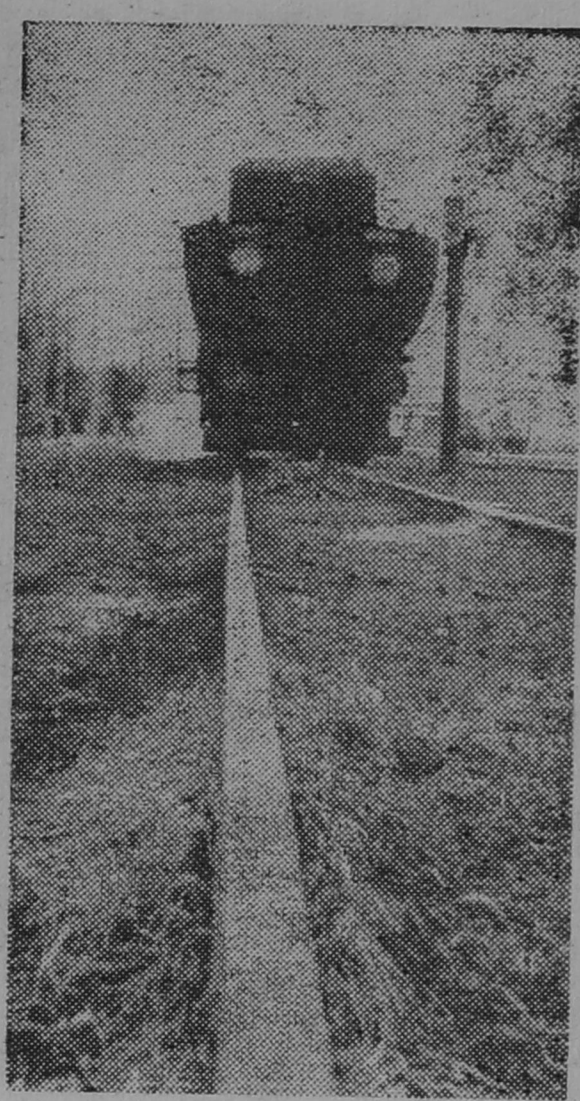
kolejowe nadzieje

nów aż do dech zapierało. Głosy mal-kontentów (skąd wiać pieniądze?) ginęły w powodzi optymistycznych doniesień i komentarzy.

W 1902 r. dominował już temat: kolej Osowiec—Łomża—Ostrołęka—Pułtusk—Zegrze. Minister wojny, gen. Aleksy Kuropatkin, zapewnił osobiście podczas wizyty w Łomży, że budowa wnet ruszy, a „Echa Płockie i Łomżyńskie” — że już ruszyła i czas jazdy do Warszawy ulegnie skróceniu z 11 do 6, a może i 5 godzin. Martwiono się tylko nieco odległą lokalizacją dworca (w Piątnicy) i faktem sprowadzenia robotników aż z Cesarstwa. Równie „pewne” okazały się wiadomości o szlakach Łomża—Bożejewo—Wizna—Mońki—Goniądz—Nowa Kamienka, Warszawa—Łomża—Suwałki, Mława—Płock—Łomża—Białystok, o wykupie gruntów pod stację w Sniadowie i niwelację terenu na odcinku Łomża—Czerwony Bór. Dopiero burzliwe zdarzenia lat 1905—1907 przerwały to pasmo pobożnych życzeń.

W 1910 r. niejaki Janusz Gwozdecki otrzymał (tak zapewniał „Kurier Kolejowy”) ze Sztabu Głównego zezwolenie na podjęcie studiów nad koleją Łomża—Sniadowo, i to koleją elektryczną! Przy okazji miało wprowadzić w miejsce nowoczesne oświetlenie i uruchomić tramwaj, wszystko za jedne 300 tysięcy rubli. Władze udzieliły zresztą wkrótce zgody na projektowanie kolei Łomża—Ostrów Maz., a miasto zaoferowało nawet dotację w wysokości 15 tysięcy rubli pod warunkiem, że stacja zostanie ulokowana nie dalej niż pół kilometra od granic grodu.

Czego nie doczekano się w czasie pokoju, to spełniło się częściowo w warunkach wojny. Z woli strate-



gów carskich zaczęło bowiem popiesznie układać tor pomiędzy Sniadowem a Łomżą i „Głos Łomżyński” w numerze z 21 maja 1915 r. mógł zawiadomić czytelników o poświęceniu owej drogi żelaznej i puszczeniu w ruch pierwszego pociągu (tydzień później gazeta poinformowała o utonięciu 43 koni podczas „wiosennego bezdroża” na dystansie Łomża—Nowogród). Przygotowywano również szybko operację przedłużenia nowej kolei do Dłutowa. Nim tak się stało, wojska Mi-

kołaja II, po serii klęsk, ustąpiły z Królestwa Polskiego, a ich miejsce zajęli żołnierze w piketach. Niemcy poprzestali na uruchomieniu linii z Olsztyna, przez Wielbark, do Ostrołęki i zbudowaniu sieci kolejek wąskotorowych do wywozu drzewa z Puszczy Zielonej.

Oszczędnę dalej wyliczanki, bo ileż to razy i w latach II Rzeczypospolitej podejmowano dyskusje „Kolej a Łomża”!

Ludowa władza wróciła po 1945 r. do postulatów budowy kilku odcinków toru. W listopadzie 1947 r. uznano za „czołowe zadanie” połączenie Łomża—Pisz—Orzysz—Giżycko. Szczęście znów było blisko, ale funduszy starczyło tylko na odbudowę części szlaku (Pisz—Giżycko). Ten drugi, łomżyński odcinek włączono do planu 6-letniego i... zabrakło raz jeszcze środków. Na sesji PRN-u w kwietniu 1959 r. zobowiązano lokalne czynniki do wzmożenia starań, oferując pomoc społeczeństwa.

W latach 1963—1964 opracowano socjalny memoriał. Były w nim wyliczenia kosztów, koncepcja przebiegu trasy i organizacji budowy. Po poprawkach powstała druga wersja kosztów, oszczędnościowa, w myśl której ułożenie odcinka od Dłutowa do Pisza miało być sfinansowane z kredytów przeznaczonych na remonty.

Niestety, nastąpiły lata trudne dla kolejnictwa w ogóle, a dla linii drugorzędnych — w szczególności. Postęp kolarzy się z ropą naftową, zatem i z trakcją spalinową. Miast budować, często likwidowano. Taki los spotkał kolejki wąskotorowe w rejonie Łomży.

Co dziś? Może znów pomarzymy o łomżyńskim węźle kolejowym. W 1910 roku autor artykułu „Łomża poprzez pryzmat sentymentu” widział siebie oczami wyobraźni na ulicy Dwornej. Była uroklawa, wiosenna niedziela. „To ulica przyszłości... Tu pojedzie pierwsza linia tramwaju miejskiego poruszana oczywiście elektrycznością. Od Skowronka, od rzeźni centralnej iść będzie do centralnego dworca gdzieś na Pocięjowie”. Minęły siedemdziesiąt trzy lata...

ADAM DOBRŃSKI

11
KONTAKTY
23 IX 1984
Łomżyńszczyzna

Szybkość nieopodważanego napadu napadła Rolanda obawa. Wypalił do dziłkich z pistoletów i, wydobywszy szabie, zadawał okrutnie ciosy na lewo i na prawo.

Już jeden Indianin pochwycił ręką złociste włosy Edyty i poczał ją wlec za sobą, gdy Natan krzyknął: — Niech krew twoja padnie na ciebie, poczworo! — i zakreśliwszy mlynka strzelbą, która pochwycił za lufę, strzelał raz po raz. Potem, w momencie okrutnego wystrachu, do nieprzyjaciela, celnym strzałem położył trupem innego Indianina.

Dwaj towarzysze Rolanda, pastor i acyr, również skutecznie dali ognia do bandy rozbójników, którzy, strwożeni tak energicznym oporem i mową strata kilku swoich, pierzchneli w krzak, wyławszy jednego Indianina ten zachęcał do ataku owych towarzyszy, a widząc, że wolanie jego nie odnosi skutku, sam rzucił się na Rolanda.

Ale Natan jakby zupełnie zapomniał o swoim pokojowym usposobieniu. Żadny krwi bardziej od młodego kapitana, rzucił się na Indianina, pochwycił go lewą ręką w której trzymał siekiere, a prawą przecorał mu gardziel nożem myśliwskim. Po czym, pochwyciwszy Rolanda za rękę, wciągnął go do chaty i zawołał: — Patrz, bracie, do czego mnie doprowadziłeś! Ja, człowiek cichy i spokojny, popełniłem aż trzy morderstwa. Lecz nie mogłem dozwolić, ażeby zbrojcy okrutni adarli ze skóry złociste włosy twojej biednej siostry. Cóż sobie teraz pomyślisz o mnie, widząc me ręce ludzką krwią zbroczone!

Roland z nieopisanym zdziwieniem przypatrywał się badawczo Natanowi. Pomiędzy kwakrem, teraz pochylonym i waltym, a olbrzymem, który dopiero co z szybkością błyskawicy trzech najsilniejszych wrogów położył trupem, tak ogromna zachodziła różnica, iż Roland, lubo widział na własne oczy walczącego Nafana, jeszcze sobie nie dowierzał, czy to nie obłąd zmysłów, czy w istocie ten trwożliwy i cichy człowiek jak lew przed chwilą walczył w jego oczach.

ROZDZIAŁ IX UCIECZKA

Nieprzyjacieli dwukrotnie odparty, a za każdym razem z wielką stratą, przekonał się, że szaleństwem byłoby narażać się na kule tak celnych strzelców. Gromada więc Indian, cofnawszy się spod ognia swoich wrogów na tyle, ażeby się niepotrzebnie nie narażać, szerokim wieńcem otoczyła zwaliska chaty z trzech stron, tak że wyjąwszy brzeg parowu, środkiem którego płynęła rzeka, a którą ucieczka była niepodobna, wszystkie miejsca były strzeżone. Indianie poukrywali się za krzakami, pniami i skałami, od czasu do czasu dawali ognia i wydawali krzyki dla przestraszenia obłądzonego.

Kiedy niekiedy jeden z odważniejszych wojowników podsuwał się pod chatę i strzelał do niej na traf, gdy obłądzeni, czuwając nad ruchami oblegających, nie narażali się niepotrzebnie na ich kule.

Położenie jednak takie było męczące i niezdolne. Oczekiwać z wyłożonym okiem i uchem wśród nieprzejrzanego nocnego ciemności co chwila nowego napadu i to wobec dwóch kobiet, narażonych na najokrutniejsze męki w razie klęski, było męką piekielną dla Rolanda i jego towarzyszy. Niepewność i trwoga napędzały serca wędrowników. Toż Indianie, czując się, mogli podsunąć się pod samą chatę, a potem wpadłszy przeważną liczbą, pokonać szczupły zastęp chrześcijan, którzy, mimo nieludzkich wyżyć, nie zdołaliby się oprzeć takiej przemocy. Lada chwila kula nieprzyjacielska mogła zmniejszyć liczbę o-

bronców, gdyż Osagowie, których pomimo poległych było jeszcze co najmniej dwadzieścia, strzelali wprawdzie na traf, ale często, a że dotąd nikogo nie zabili lub nie zranili, można to tylko było przypisać cudowi.

Położenie jeszcze stęknąć by się pogorszyło za nadejściem dnia, bo przy świetle słonecznym ani jeden strzał Indian nie byłby daremny, a przy blasku dnia dalej przekonali się, że mają do walenia z bardzo małą siłą, której w nocy ocenić nie mogli. Odsiecz spodziewać się nie było można, gdyż pułkownik ze wszystkimi osadnikami, zdolnymi do bitwy, pociągnął na pomoc kolonistom, na północy położonym, towarzysze zaś Rolanda, znajdujący się przy karawanie, nie przeczuwali, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się ich dowódca. W takim tylko razie odsiecz mogłaby nastąpić, gdyby się udało któremuś z obłądzonego przedrzeć przez łańcuch Indian i sprowadzić pomoc.

Roland miał dwa plany: albo dosiąść konia i rzucić się wprost na dziłkich, a ściągawszy uwagę na siebie, ułatwić Natanowi wyprowadzenie drugiej strony reszty obłądzonego, lub też, pomimo gwałtowności wezbranej rzeki, zdać się na konie i przenieść wątpliwy ratunek nad śmierć pewną. Udzielił on swych myśli Natanowi, ale kwakier ani jednej, ani drugiej nie pochwalił. Słuchał ich w milczeniu, a sam, pomimo skruchy i wyrzutów sumienia, nie zaprzestał strzelać do dziłkich i ile razy który z nieostrożniejszych wychylił się z ukrycia lub jakąś część ciała odsłonił, natychmiast kwakier, korzystając z tego, słał mu pocisk niechybny.

— Co dalej zrobimy, w tej chwili jeszcze nie wiem — szepnął kwakier — ale radziłbym ci, zanim Pan Bóg nas natchnie, dziurawić czerwone skóry. Mam już kilka na sumieniu z twojej przyczyny, to i trzeba brnąć dalej, bo czy mniej, czy więcej, to już na jedno wyjdzie.

Noc, zbliżając się ku schyłkowi, ośmielała Indian. Rzęsiste strzały i liczniejsze okrzyki dowodziły, iż musieli otrzymać posiłki. Zarazem zauważył Roland, że amunicji nie na długo wystarczy.

— Bracie — rzekł Natan, wysłuchawszy Rolanda — jeżeli tam w górze stoi napisane, iż niewiasty twe zostaną wymordowane w twoich oczach, nie tego wyroku zmienić nie zdoła. Ale ponieważ powiada „Pismo św.”: „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże”, przeto będę się starał uczynić wszystko, na co się moja słaba głowa i liche siły zdobyć mogą. Opuśćcie więc, miły bracie, dla sprowadzenia pomocy. Jeżeli zdołasz bronić chaty do rana... Ależ płot niedorzeczności; nie tylko zdołasz, ale musisz jej bronić, choćbyś nie miał innej pomocy, jak tylko tych dwóch niedołądów. Ja ci sprowadzę ratunek.

— A zatem dosiądź konia i dla odwrócenia uwagi tych potworów...

— Nie troszcz się o mnie i nie odwracaj ich uwagi, bo się to na tyle tylko przyda, że cię zastrzelą jak jelenia. Ja muszę tak ostrożnie i cicho przepelznąć przez ich czaty, żeby nawet nie domyślili się, że się liczba obrońców zmniejszyła.

— Ależ to niepodobne do skutecznienia! — rzekł Roland.

— Zapewne, że nie jest rzecz łatwa podejść tych rozbójników, ale dla ocalenia tych biednych kobiet trzeba się na wszystko wrazić. Jeżeli mi się powiedzie przebyć łańcuch czat indiańskich i znaleźć twoich przyjaciół, to bez wątpienia uratuję wam życie. Nie wda się, to przynajmniej nie będę cierpiał, patrząc, jak te psy będą zdzierały czupryny chrześcijańskie. Przy pomocy Bożej spodziewam się prześlizgnąć jak wąż pomiędzy nimi, a zresztą i Cukierek będzie mi w tym razie wybownym przewodnikiem.

— Niechże cię Bóg prowadzi — szepnął Roland, nie mając nawet czasu wśród okropnego niebezpieczeństwa pojąć ogromu poświęcenia Na-



Muzyka latynoska — niezwykle specyficzna mieszanka różnych wpływów, m.in. meksykańskich, murzyńskich i indiańskich, była niezwykle popularna na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Do najbardziej znanych przedstawicieli rocka latynoskiego należy Carlos Santana.

Urodził się w Autlan, 20 lipca 1947 roku. Jego ojciec, Jose, był również muzykiem. To właśnie on nauczył małego Carlosa gry na gitarze, skrzypcach i kontrabasie. Ukończywszy 15 lat Carlos wyruszył do Tijuany — miasta turystów, leżącego nad Pacyfikiem, przy granicy amerykańsko-meksykańskiej. Jako doskonały gitarzysta był jedną z atrakcji nocnych klubów i restauracji odwiedzanych chętnie przez Amerykanów. Jego ówczesny repertuar stanowiły wyłącznie pełne ekspresji rytmy latynoskie oparte na folklorze meksykańskim.

„Jestem na wpół samoukiem — mówi Santana. — Kiedy byłem dzieckiem, ojciec uczył mnie grać na gitarze, kazał czytać nuty i myślał bardzo poważnie o mojej przyszłej karierze muzyka zawodowego, ale niezbyt mnie to interesowało. Chciał dobrze, ale w końcu niewiele z tego wyszło, bo nie pozwalał mi odpocząć i robić tego, na co miałem ochotę.”

Podobno wtedy młody Santana próbował improwizować, ale wiadomo, jak takie improwizacje mogły wychodzić. Dzisiaj oczywiście zna nuty. Jednak, przyznając się do tego, natychmiast dodaje: „Są argumenty przeciw mojej znajomości nut. Kiedy nie zna się zapisu, można folgować wyobraźni — nie myśli się w kategoriach „krzyżyk”, „bemol”. Myśli się w kategoriach koloru, dynamiki, emocji, radości czy gniewu. Dobrze jest wyważyć znajomość nut z nieskrępowaną wyobraźnią”.

Pod koniec 1966 roku Carlos Santana wrócił do San Francisco — miasta cyganerii artystycznej; tam też ukształtowała się jego, jako muzyka, osobowość. Tutaj wypłynął na „szersze wody”. Z początkiem 1967 roku postanowił założyć własną grupę. Udało mu się skupić wokół siebie doskonałych instrumentalistów: Gregga Roliego, Davida Brow-

na, Mile'a Shrieva, Mike'a Carabello i Jose Areasa. Zespół wykonywał cały zestaw egzotycznych instrumentów jak: kongosy, timbale, marimbasy, surdosi, bongosy i marakasy. Wszystko to wspomagane było organami i gitarami. Pierwszy ich koncert wywarł ogromne wrażenie. Było to coś zupełnie nowego, porywało eksplozją rytmów.



Światowy rozgłos przyniósł Santanie występ w sierpniu 1969 roku na legendarnym już dziś festiwalu rockowym w Woodstock. Trzeba przy tym pamiętać, że na tym festiwalu występowały takie zespoły: „The Who”, „Jefferson Airplane”, „The Band” i „Blood, Sweet and Tears”, śpiewali: Joan Baez, Janis Joplin i Jimmi Hendrix. „Nie wiedziałem nic o muzyce latynoskiej aż do roku 1968, kiedy zacząłem słuchać rozgłosu radiowej

z San Francisco, która ją nadawała” — wspomina Santana. Twierdzenie to nie powinno budzić większego zdziwienia, jako że twórcami i wykonawcami muzyki określanej tym terminem są przede wszystkim Kubańczyki i Portorykańczycy. Jej wpływ na muzykę jazzową datuje się od 50 lat, czyli od czasu, gdy oszalałającą karierę zrobił „Chano

xas”, wydana w 1970 roku, stała się natychmiast szlagierem. Na krążku znalazły się popularne do dziś kompozycje: „Samba Pa Ti”, „Gypsy Queen”, „Oye Como Va”, „Black Magic Woman”. Zadowoleni i bogaci muzycy z zespołu Carlosa Santany wyjechali natychmiast na wojnę po Ameryce i Europie. Szczęście nie trwało jednak długo. W rok po ukazaniu się płyty „Abraxas” — Carlos rozwiązał zespół. Fakt ten do tej pory jest niezrozumiały dla wielu fanów i ludzi zawodowo zajmujących się muzyką. Był przecież u szczytu popularności... ale — jak twierdzą ludzie znający Santanę — już właśnie wtedy zaczął mieć różne kaprysy i fochy. Potem wystąpił przez pewien czas sam, często biorąc udział w nagraniach studyjnych jako muzyk sesyjny. Wreszcie zdecydował się nagrać solowy album wspólnie z perkusistą — Buddy Milesem. Nie była to jednak najlepsza spółka i najlepsza płyta. Muzykom wyraźnie brakowało zgrynia i przewodniej myśli muzycznej. Niezadowolony Santana z tego materiału sprawił, że postanowił powołać nowy zespół muzyczny. W 1972 roku powstała nowa płyta „Caravanserai”, zawierająca trudniejszy, inny od dotychczasowego repertuar. Świadczyło to o ciągłych poszukiwaniach Santany — doskonałego gitarzysty-samouka. Rok później Carlos zainteresował się religią i filozofią Wschodu — przystąpił do sekty bengalskiego mistyka Sri Chinmoya, u którego pobierał również nauki inny doskonały muzyk — John Mc Laughlin „Mahavishnu”. Egzotyczne praktyki religijne doprowadziły tych świetnych muzyków do przyjaźni i wspólnych nagrań. Zarejestrowana wtedy płyta „Love, Devotion, Surrender” dała możliwość „Devadipovi” (takie imię nadała Carlosowi sekta) sprawdzenia się w trudnym repertuarze jazzowym.

„Czasami czuję, że mam ochotę rzucić to wszystko jak Peter Geen, ale guru mówi mi, że byłoby to ogromnie egoistyczne, ponieważ Najwyższy dał mi talent i tą małą cząstką, którą mam, powinienem dzielić się z innymi” — twierdzi „Devadip” Santana.

mistyk gitary

tana. — Rób, co możesz, dla ocalenia mej siostry, a wszystko, co tylko posiadam, oddam ci w nagrodę twej usługi.

— Bracie — odpowiedział z dumą Natan — co czynię, czynię to nie dla nikczemnego zysku, ale z litości dla kobiet. Oszczędzaj tylko prochu i broń się jak najdłużej, a Bóg pobłogosławi moim zamiarom i ocali biedne ofiary.

Natan nie namyślał się długo, podpasał poły skórzaną opończę, ażeby mu nie przeszkadzały, potem z cicha gwizdnął na pieska, leżącego w kącie izby. Następnie, opatrzywszy proch na panewce i pozostawiwszy sobie jeden nabój, oddał resztę kul i prochu Rolandowi i skierował się ku drzwiom, skradając się na palcach. Jakies małe podejrzenie obudziło się w duszy kapitana.

— Natanie! — rzekł, ściskając mu gwałtownie rękę. — Ja ciebie nie puszczę. Może ty chcesz nas bezpowrotnie opuścić? Och, gdybyś miał zamiar zostawić nas w rękach nieprzyjaciół, Bóg nie przebaczyłby ci nigdy tej zdrady!

— Bracie! — odrzekł kwakier spokojnie i chłodno. — Gdybyś wiedział, co to znaczy przekradać się przez obozowisko dzikich, tobyś przeniknął, że tchórz i zdrajca obrałby sobie inną drogę dla uratowania swego nikczemnego życia. Spełnij tylko swój obowiązek tak, jak ja mój spełnię, a wszystko będzie dobrze. Bywaj zdrów! Zginę lub ocalę te biedne dziewczęta.

I uściskawszy rękę Rolanda, odważnie puścił się na wykonanie swego niebezpiecznego przedsięwzięcia, które obudziło w sercu Rolanda największe uwielbienie, gdyby był w stanie pojąć wielkość ofiary Natana.

Kwakier, pełzną na brzuchu, wyslizgnął się z chaty i szeptał wciąż do swego psa: „Cukierku! tyle razy dałeś mi dowody swego rozumu, pokaz dziś, co umiesz! Prowadź mnie, pocziwa psinko, bo tu idzie o ocalenie biednych kobiet i dzielnego wojownika”.

Psina podniosła nos do góry, wietrząc na wszystkie strony, potem, obrawszy kierunek, puściła się naprzód. Natan pełznął za nią od krzaka do krzaka, od pnia do pnia, posuwając się tuż za nogą psa z jak największą ostrożnością i cichością.

Gdy kwakier znikł z oczu kapitana, rozkazał on pozostałym towarzyszom, ażeby wraz z nim dali ognia do Indian dla odwrócenia ich uwagi od Natana. Na strzały te dzicy odpowiedzieli wrzaskiem przeraźliwym. Roland powtórzył salwę, a gdy krzyki uspokoiły się, z bijącym sercem zwrócił uszy ku stronie, w której myśliwiec popełnił. Nic jednak słychać nie było, tylko niekiedy wypadł strzał ze strzelby Indian, połączony z wyciem przeraźliwym. Potem następowała cisza, wśród której dochodził oddalony huk gromu i szum przelewającej się w łożysku rzeki.

Roland już dziękował w duszy Bogu za szczęśliwy obrót sprawy Natana, kiedy nagle straszliwy wrzask rozdarł powietrze w tej właśnie stronie, w którą myśliwy popełnił. Myśl, że go dzicy schwytali, ścierała lodem krew w żyłach kapitana; po krzyku tym ponownie nastąpiła tak głucha cisza, że wyraźniej niż kiedykolwiek dobiegał do uszu szum wiatru, wstrząsającego wierzchołki drzew niebotycznych.

Po upływie kilku minut, które wydawały się wiekiem zgnanemu Rolandowi, horda Indian z większą niż pierwiej zaciętością, ponowiła napad. Na odgłos ich wojennych okrzyków zachwiana energia ożyła znowu w piersi Rolanda.

— Ognia! Ognia! — zawołał na swych towarzyszy piorunującym głosem.

sem. — Jeżeli mamy zginąć, drogo sprzedajmy swe życie i zginęmy, jak na mężów przystoi!

I sam dając przykład, wypalił ze strzelby i pistoletów do ciemnych postaci, biegnących ku zwałiskom. Colbridge i Cezar strzałami powitali nieprzyjaciół i jeszcze raz udało im się odeprzeć napad. Dzicy cofnęli się na dawne stanowiska i stamtąd utrzymywali ogień; niektórzy z nich, ukrywając się za pniami drzew, dawali strzały z bliższego niż towarzysze oddalenia. Gdyby nie grube belki ścian chaty i ciemność nocy, o brońcy dawno by już poległ.





pies za kierownicą

Po raz pierwszy w historii automobilizmu prawo jazdy w RFN otrzymał pies. Owczarek alzacki, wabiący się Ajax, przeszedł pomyślnie wszelkie niezbędne badania lekar-

skie. Podpisał nawet „własnoręczny” dokument. Ajax figuruje na zdjęciu w czapce i okularach automobilowych. O profilu z odsonowanym lewym uchem procedura urzędowa nie wspomina.

ROSLINY PRZECIW SZKODNIKOM

krwawnik pospolity

Tę roślinę — o liściach pierzastych i białych baldachach kwiatowych — znają wszyscy. Występuje często na łąkach, pastwiskach, skłach, zębach oraz jako chwast polny i ogrodowy. Krwawnik znakomicie chroni rośliny przed owadami. W tym celu gotuje się ok. 600

gramów suchego ziela (lub 5 razy większą porcję posiekanego świeżego) w 10 litrach wody przez około 30 minut. Pozostawia się go następnie na kilka godzin, cedzi i — dodawszy, dla lepszej przyczepności, pół kostki rozgotowanego zwykłego mydła — kropi wywarem rośliny.

lekarstwa domowe

NA KRWAWĘ OCZY. Weź soku rucianego, wpuść w niego trochę miodu psianego i octu, przecedź przez serwetę i napuszczaj tym oczy.

NA PALENIE GARDEŁA. Weź jaltowca, ugnieć go, ugotuj w mleku i okładaj często odmienną ciepło.

NA WRZÓD W PIERSIACH. Warz żytne otręby w oliwie, przykładaj na wrzód z rana i wieczór odmienną ciepło, w dziewiątym dniu rozpuknie się.

NA ZDRĘTWIENIE CZŁONKÓW. Weź łut jeleniego łozu, cztery łuty majowego masła, mialko utłuczonego omanowego korzenia, rozpuść, zrób masę i nią smaruj.

NA WYWINIĘTE CZŁONKI. Po nabiciu w swe stawy uwarz dwie garści lnianego siemienia w mleku, aż puknie, przymieszaj garść jedną żytnej otrąb i trochę octu, niechaj tak raz zawre, rozmasz na macherzynie (pęcherzu), obwin ciepło jak strzypać będziesz mógł, powtórz kilkakrotnie, ile będzie trzeba.

NA DZIURY W GARDLE. Weź garść pełną poziomkowego ziela, wygotuj aż do trzeciej części, miodem osłodzi i płucz często.

NA BÓL GŁOWY Z WIELKIM GORĄCEM. Weź pełną garść przetłuszczonego jaltowca, tyleż ciasta kwaśnego, soli i gorczycznej maki, rozczyn tęgim winnym octem, zawiń w kawał płótna, obłóż podeszwy nóg, a gdy wyschnie, rozrób w occie i znów przyłóż.

(„KALENDARZ GOSPODARSKI” ZAWADZKIEGO)

rozbijanie mózgów

Od roku 1945 na zawodowym ringu znalazło śmierć 338 osób, czyli co roku ginęło w ten sposób 10 zawodników. Są to jedynie cyfry zebrane przez lekarzy amerykańskich i brytyjskich. W Korei Południowej i na Filipinach niesześcielne wypadki w boksie w ogóle nie są rejestrowane. Nieznana jest także — niewątpliwie ogromna — liczba przypadków trwałego kalectwa, będącego wynikiem zmagania ringowych.

Niemal klasyczny przypadek stanowi w tym względzie tragiczny los boksera wszechczasów, Muhammada Alego. Ten idol kibiców całego świata, po stoczeniu 549 walk, jest dziś — budzącym politowanie — ludzkim wrakiem o zniekształconej twarzy, z trudem wypowiadającym poszczególne słowa. Straszliwego obrazu dopełniają nienormalnie rozrośnięte mięśnie — cierpi na tzw. fibrosę, schorzenie wywołane uszkodzeniem włókien rdzenia nerwowego.

Nawet wyrwykowe dane potwierdzają fakt, że większość bokserów — zawodowców cierpi na różne schorzenia mózgu. I tak na 38 zbadanych byłych bokserów — u 20 stwierdzono poważne czaszkowo-mózgowe powikłania pourazowe, które niezwykle rzadko notuje się u bokserów-amatorów.

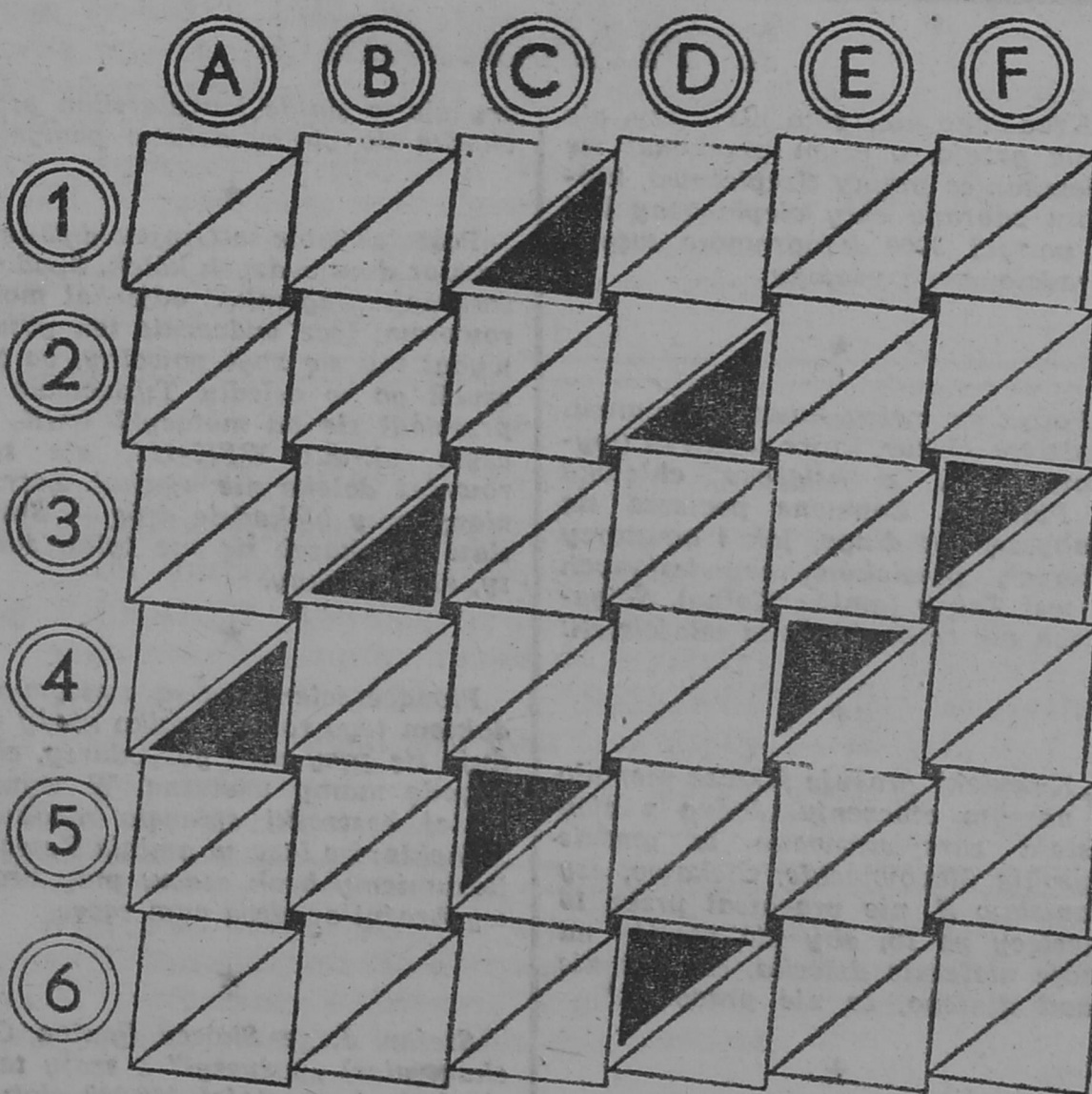
TANIE DANIE

jaja z rybą

Składniki: 6 jajek, 25 dkg filetów z dorsza lub makreli, 3 dkg masła, 2 dkg maki, szklanka mle-

ka, 10 dkg twardego sera, sól i pieprz do smaku.

Umyte jajka ugotować na twardo i obrać ze skorupki. Rybę ugotować w niewielkiej ilości osolonej wody. Jajka przepołować wzdłuż, wyjąć ostrożnie żółtka i rozetrzeć na jednolitą masę z ugotowaną rybą; przyprawić solą i pieprzem. Z masła, maki i mleka przygotować sos beszamelowy. Białka napelnić masą rybną, ułożyć w żaroodpornym naczyniu, posłać serem i posypać utartym serem. Zapiec w piekarniku. Podawać z frytkami.



POZIOMO: 1) cenione w meblarstwie drzewo afrykańskie — rodzaj kaszy, 2) członek kapituły — staropolski zwrot grzecznościowy, 3) prezent — samorzutne przeniesienie rozpuszczalnika przez półprzepuszczalną błonę, 4) miejsce na liście kwalifikacyjnej — nieoficjalny organ Turcji Partii Robotniczej, 5) państwo afrykańskie — wielodzwięk zbudowany z dźwięków położonych blisko siebie w skali muzycznej, 6) gatunek wełny — tłuszcz kuchenny.

PIONOWO: A) rodzaj nawierzchni drogowej — miasto w pld. Jordanii, B) nie można go spalić — najczęściej spożywany gatunek kalamarzy, C) kura producent — rozbija się o izbicę, D) wiązka, sноп — miasto w pld.-wsch. Szwecji nad jeziorem Wetter, E) część spadochronu — ogrodowy kwiat jesienny, F) plemiona Afryki Zach. — pożytek, korzyść, rzecz oplacalna.

(HCL)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr. 22/84 r.: „Wygasły ogień nie niewart”. Nagrody książkowe wylosowali: JADWIGA BYKOWSKA z Łomży, LUCJA DĄBROWSKA z Grójca, ANDRZEJ KOWALSKI z Białogostoku. Rozwiązanie krzyżówki z nr. 23/84 r.: „W miarę wzrostu bogactw rośnie chciwość”. Nagrody książkowe wylosowali: HANNA ZALEWSKA z Milewa, HENRYKA GRZYB z Bań Mazurskich, JADWIGA ZAKRZEWSKA z Ząrzewo Kościelnych.

limbolid

Na Węgrzech opracowano podobno rewelacyjny preparat przyspieszający wzrost roślin i zwiększający plony. Próby laboratoryjne z limbolidem przyniosły rezultaty lepsze od oczekiwanych: wzrost plonów od 5 do 10 proc., a w niektórych przypadkach — nawet 20 proc. Zdaniem specjalistów — limbolid znajdzie szczególne zastosowanie przy uprawie roślin paszowych i warzyw, a także w procesie związanym z produkcją nasion.

stragan pod trzynastką



wieści grodzkie

NOWOGRÓD



Od kilku miesięcy pracuje miejscowa fabryka cukierków, a jej wyrobów ciągle nie widać w sklepach. Okazuje się, że najłatwiej je dostać w gminach Nowogród, Zbójna i Miastkowo. Niewielkie ilości krówek trafiają do WSS-u i PSS-u w Łomży oraz Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych. Zdarzył się przypadek powrotu stąd cukierków do Nowogródu, ponieważ pracownicy WZSR-u, chcąc sprawiedliwie rozdzielić towar,

W dniu 22 lipca miało odbyć się przecięcie wstęgi i uruchomienie nowej przychodni lekarskiej. Jest połowa września, a w budynku nie się nie dzieje. Wyjaśnia naczelnik



Kolna: — Nie było oficjalnego otwarcia z przecinaniem wstęgi. Pod koniec sierpnia odbył się tylko odbiór techniczny. W poniedziałek (3 bm.) oglądałem budynek: pracownicy ZOZ-u muszą przed uruchomieniem niektóre rzeczy zmienić. Najwięcej problemu jest z fotelami dentystycznymi; zostały one źle zamontowane. Termin uruchomienia przychodni zależy od tempa, w jakim będą się przenosić pracownicy starej przychodni. Część sprzętu jest już przewieziona. Oficjalne otwarcie placówki zaplanowaliśmy na



Niewielkie zainteresowanie mieszkańców wzbudził plan przestrzennego zagospodarowania miasta. Bulwersującą sprawą była, na przykład, przyszłość stodoł. Teren, który one zajmują, został przeznaczony pod budownictwo domów jednorodzinnych. Na razie nie ma

KOLNO

początek października, ale mamy cichą nadzieję, że zacznie działać wcześniej. Radość z jej uruchomienia mać fakt, że będzie to przychodnia za małą jak na nasze potrzeby. Kiedy jej budowa była projektowana, obowiązywała zasada, że pozwolenie, tzn. fundusze wydawała Komisja Planowania przy Radzie Ministrów. W trakcie budowy próbowaliśmy zmienić projekt: chcieliśmy dostawić drugie piętro, ale wykonawca (LPB) w ogóle nie chciał z nami na ten temat rozmawiać. W przychodni są też ogromne hale. Próbowaliśmy interweniować, aby przetranszować je na gabinety lekarskie, lecz kto słucha niefachowców? Mamy zapewnić wykonawców, że rozbudowa jest możliwa; szkoda tylko, że problemu nie udało się rozwiązać za jednym zamachem.

SZCZUCZYŃ

decyzji na temat ocalałych z pożarów stodoł. Według informacji inspektora ds. budownictwa — będą one stały dotąd, aż się same rozpadną. Jest to chyba rozwiązanie polowiczne. Jakich rolnik na to pozwoli? Należałoby raczej wyznaczyć tereny pod budownictwo gospodarskie i tam przenieść stopniowo stodoły, a szczególnie zadbać o te, które przedstawiają wartość zabytkową.

Z MARGINESU

Kradzione nie tylko nie tuczy, ale i nie grzeje, o czym przekonał się mieszkaniec gminy Szeptowo, któremu zabrano cały ciepłonośny łup w postaci 3200 kilogramów węgla, skradzionego z wagonu.

Pożył na cudzy koszt postanowili złodzieje 15 kur, które wynieśli (wyprowadzili?) z księżego chlewka w Piątnicy. Zapewne pocieszą się zdobyczą tak długo, jak i amatorzy czterech prosiaków, wywiezionych ze wsi Zebry (gmina Kolno). Scigają ich nie tylko życzenia właścicieli!

„Kukulek” grasuje jeszcze немало w naszym otoczeniu. Jedną z nich została zarejestrowana w gminie Wysokie Mazowieckie. Ciekawe, czy Stanisław S. nie pracował przez 16 miesięcy po to, aby nie płacić na swoje nieletnie dziecko, czy też nie płacił dlatego, że nie pracował?

I znowu kosztowny fajerwerek, bo na sumę aż 3,5 miliona złotych! Spłonęły trzy drewniane stodoły ze zbiorami i sprzętem gospodarskim i trzy murowane chlewy; na szczęście — tylko w jednym był inwentarz żywy. Sianko w stodołach podpalił 6-letni Tomaszek, mieszkaniec Uśnika (gmina Sniadowo).

Nie trzeba mieć alkoholu we krwi, aby polonezem zaatakować czołowo żuka? Tadeuszowi K. z gminy Kulessze Kościelne wystarczyło 2,18 promilla. Wszystkiemu, jak zwykle, winne są kobiety: 33-letniemu męż-

czyźnie w stanie kawalerskim przechodzą do głowy dziwne pomysły.

Poszalał sobie w Grajewie 23-letni amator dwu cudzych kółek. Spod restauracji „Jagienka” odjechał motocyklem, lecz widocznie ten pojazd wydał mu się zbyt powolny, bo porzucił go w osiedlu Tysiąclecia i przesadził się na motocykl WSK, po czym ukradł WSK-125, ale tym również daleko nie ujechał. Zatrzymany przy blokadzie dróg — Stanisław L. okazał się nie tylko żonaty, ale i karany.

Plonące ścierniska są częstym widokiem tego roku. Rzadko kiedy widuje się przy nich gospodarzy, choć pogodę mamy wietrzną. W wyniku takiej beztroski spłonęło niedawno 12 hektarów lasu w gminie Zawady. Rozumiemy brak czasu; przy braku wyobraźni opadają nam ręce.

Stefan J. ze Skórcza (gmina Ciechanów) „pożyczył” z szafy tatuśka kotuch wartości 100 000 złotych. Okrycie musiał zwrócić, a wkrótce z pewnością przyswoi sobie obowiązek informowania właścicieli o zaciąganiu pożyczek pod ich nieobecność.

Uważajmy na nieoświecone furmanki! Ta „plaga” polskich jesiennych zmierzchów tylko dzięki niezwykłej intuicji kierowców nie zbiera obfitego żniwa w postaci ludzkiego zdrowia i życia. Niedawno „nadszedł się” na takie widmo — między Jakaciami w gminie Sniadowo — fiat 125p. Wśród poszkodowanych pasażerów jest 15-miesięczne dziecko.

afisz administracyjny

Wydział Prawny został wyodrębniony (zgodnie z postanowieniami aktów wykonawczych do ustawy o systemie rad narodowych i samorządzie terytorialnym) z dotychczasowego Biura Organizacyjno-Prawnego i Kadr.

Do jego obowiązków należy m.in. obsługa prawna wojewody i wydziałów Urzędu Wojewódzkiego, tzn. opiniowanie pod względem prawnym i redakcyjnym projektów aktów prawnych wojewody oraz projektów uchwał kierowanych pod obrady Wojewódzkiej Rady Narodowej; doradztwo prawne i prowadzenie spraw zastępstwa sądowego i przed komisjami arbitrażowymi; analiza legalności zarządzeń terenowych organów administracji państwowej stopnia podstawowego, zawierających przepisy prawne powszechnie obowiązujące; nadzór nad stosowaniem przepisów „Kodeksu postępowania administracyjnego” w wydziałach Urzędu Wojewódzkiego i urzędach terenowych; obsługa prawna tych urzędów terenowych, które nie mają możliwości zapewne-

nia jej sobie we własnym zakresie, zaskarżenie ostatecznych decyzji administracyjnych do Naczelnego Sądu Administracyjnego wraz z zastrzeżeniem prawnym przed tym Sądem; opinowanie projektów umów i porozumień; wydawanie opinii prawnych dotyczących rozwiązania stosunku pracy bez wypowiedzenia oraz dotyczących umorzenia wlewu; udzielanie wyjaśnień w sprawie obowiązującego stanu prawnego, dotyczących działania wojewody, wydziałów Urzędu Wojewódzkiego oraz terenowych organów administracji państwowej; prowadzenie redakcji „Wojewódzkiego dziennika urzędowego”.

Wydział Prawny, współpracując z Biurem Wojewódzkiej Rady Narodowej, będzie zapewniał obsługę prawną Wojewódzkiej Rady Narodowej, a także sprawować kontrolę nad uchwałami rad narodowych stopnia podstawowego pod względem ich zgodności z prawem.

Mgr WANDA ORŁOWSKA
dyrektor Wydziału

naprzód orły

Zaczęła się piłkarska karuzela; dla jednych radość, dla innych żyz. Od pierwszego gwiazdka nieszczerze wiedzie się ŁKS-owi. Podobnie jak w ubiegłym sezonie — kibice tej drużyny więcej mają powodów do zmartwień niż do radości. Białoczerwoni w czterech kolejnych meczach (w dwóch byli gospodarzami), zdobyli zaledwie trzy punkty i strzelili tylko dwie bramki, a stracili cztery.

Ich indolencja strzelecka nie jest czymś nowym, bo nawet przyznanych przez sędziów rzutów karnych nie potrafili zamienić na bramki. Jeśli jednak wiosenne „sensacje” można usprawiedliwić (tylko teoretycznie) najpierw — wydawałoby się — klarowną sytuacją, a następnie nagłym zagrożeniem ligowego bytu, o tyle teraz na nikogo i na nie nie można zwalić winy, bo nie ma jeszcze powodów do frustracji. Tak liczącej kadry piłkarzy trener ŁKS-u nie miał już dawno; żaden z zawodników nie ma zapewnionego miejsca w pierwszym składzie; przeciwnie, może przez nieokreślony czas „grać” lawą. Taka sytuacja powinna więc mobilizować i wyzwalać ambicje, ale jest inaczej. Na meczach widać, że bardzo lubią bawić się piłką (co świadczy zapewne o miłości do niej), ale tuż przed polem karnym przeważnie ją tracą.

To dopiero początek sezonu, w sporcie zaś wszystko jest możliwe; starsi kibice pamiętają, że ŁKS zwyciężył się niedługo mianem „rycerzy wiosny”. Gdyby jednak coś nie wyszło, radzę pamiętać: Ostrołęka nie ma przecież III ligi, a jakoś żyje.

W klasie okręgowej dwa inne zespoły z Łomżyńskiego ubiegają się o awans do III ligi. Na razie była trzecioligowa zambrowska „Olimpia” straciła dwa punkty, a pretendujący do tego miana od dwóch lat „Grom” z Czerwonego Boru stracił niespodziewanie jeden. Na rękę to, oczywiście, „Narwi” z Ostrołęki, znanej z trzecioligowych apetytów, która w trzech kolejnych meczach zgromadziła komplet punktów i strzeliła przeciwnikom aż 20 bramek!

Zawodnicy z Czerwonego Boru są dobrej myśli, chociaż przed dwoma laty wykołował ich „Bug”, a ostatnio — „Mławianka”. „Narwi” jednak musi powinąć się nogą, bo do trzech razy sztuka, a przysłówka są mądrością narodu. Zambrowiaczy są umiarkowanymi optymistami; zaczęli tracić nerwy dopiero za trzy lata, gdyż tyle czasu otrzymał nowy trener na wprowadzenie zespołu do trzeciej ligi. Drużyna jest poważnie odmłodzona — w ciągu roku ubyło z niej siedmiu zawodników z podstawowego składu. Trudno jednak zambrowskiej jedenastki nie doceniać, gdyż w najgorszym razie „Olimpia” może być przysłówkowym języczkiem u wagi. Ale wiadomo skądinąd, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta...

Inni, nasi „okręgowcy” założyli, podobnie jak ŁKS, twardą walkę o utrzymanie się. Trudno tego dokonać przy założeniu tak minimalnego celu. Ale też i bez złośliwości można stwierdzić, że na razie na więcej ich nie stać. Wydaje się, że w ślady — przeżywającej kry-

zys kadrowy i organizacyjny — „Warmii” idzie „Bawelna”. Natomiast o szansach beniaminka klasy okręgowej, szepietowskiej „Sparty”, będzie można powiedzieć coś więcej dopiero po zakończeniu rundy jesiennej. Jak dotychczas — wiedzie jej się nieszczerze.

Pozostająca w cieniu III ligi klasa okręgowa jest jednak szczytem marzeń kibiców z Wysokiego Mazowieckiego, Ciechanowa, Szczuczyna, Stawisk, Kolna i Nowogródu. Pierwszą kolejkę drużyny klasy wojewódzkiej rozegrały 1 września i jeszcze nie wiadomo, jakie niespodzianki czekają kibiców. Może ponownie wywalczy awans generalnie odmłodzony „Orzeł”, pomimo że w Kolnie podziękowane za grę — nie przynoszącym chluby swym zachowaniem klubowi — „internacjonalom”. Barw „Orla” bronią ubiegłorocznii juniorzy. Nie byłby największego kalibru niespodzianką awans „Ruchu”, gdyby ktoś wykaźwał większe zainteresowanie jego sprawami. „Unia” ma zawsze udaną jesień; gdyby nie gra „w kratkę” wiosną, to kto wie! Najwięcej szans daje się jednak „Wisłowi” ze Szczuczyna, która w ubiegłym sezonie była druga tuż za „Spartą”. Piłkarze „Wisły”, jako jedyni w ubiegłorocznych rozgrywkach, nie oglądali kolorowych kartoników, co jest wydarzeniem bez precedensu.

Wiosną wycofała się z rozgrywek łomżyńska „Jędrznia”, a ostatnio — „Victoria” z Jedwabnego. Ich miejsce zajęli piłkarze „Komunalnych” z Łomży, o których na razie można tylko powiedzieć tyle, że mają zapal i optymizm. Dobrze, że w Łomży powstała nowa drużyna, wszak rywalizacja jest motorem postępu. Nigdy nie wiadomo, co się z jakiegoś jajka wykluje; może jakiś dziwny kogut?

Nowością tegorocznych rozgrywek będzie rywalizacja juniorów młodszych i trampkarzy z rówieśnikami z Ostrołęki. Oprócz oczywistych korzyści szkoleniowych — pozytywny jest fakt uczestniczenia w regularnych rozgrywkach większej liczby młodzieży. Łomżyńska sekcja piłkarska są nieźle zaopatrzone w podstawowy sprzęt, zakupiony przez WFS i w większości przekazany klubom nieodpłatnie z zaznaczeniem, że ma służyć adeptom piłkarstwa.

Szkolenie młodzieży najlepiej zorganizowane jest w Zambrowie. Sekcja piłkarska „Olimpii” zatrudnia aż sześć szkoleniowców, w tym trzech trenerów II klasy, z których dwóch pracuje i trampkarzami. Działa tam także szkoła bramkarska, prowadzona przez strażnika bramki drużyny seniorów. Niestety w Łomży nie wypaliła sprawa klasy rozszerzonej programem piłki nożnej.

Piłka nożna jest najpopularniejszą najchętniej uprawianą dyscypliną sportu w Łomżyńskim. W prowadzonych przez OZPN rozgrywkach uczestniczą drużyny seniorów, juniorów, juniorek młodzieży i trampkarzy. Kilkadziesiąt drużyn walczy w rozgrywkach ligi robotniczej i TKKF-u, a prawie sto rywalizuje co roku w ligach gminnych ŁKS-u.

Doczekaliśmy się: nareszcie piłka grze.

WYMIATAĆ

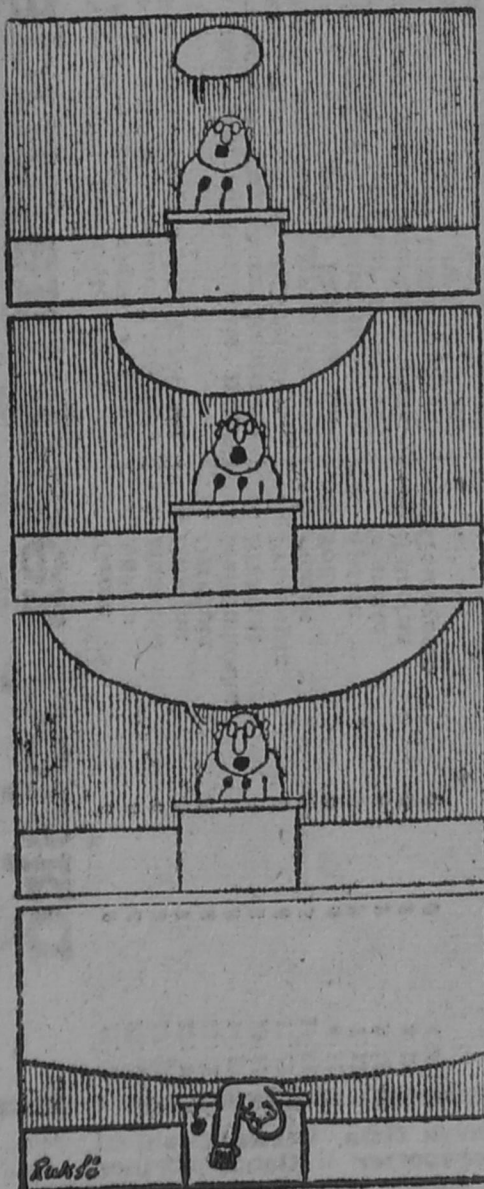
warunki
prenumeraty

sarmacki

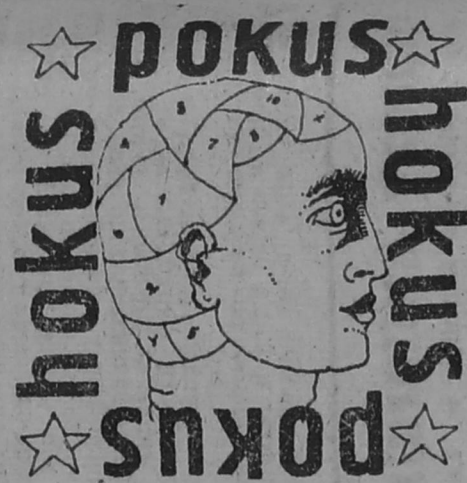
(urodzeni 20—26 IX
między godz. 4.07—5.16)

Ludzie spod tego znaku (Waserwaga) pracują o-
fiarnie, ale — niestety —
mało wydajnie. Zwykle
sądzą oni, że powinni ro-
bić zupełnie co innego niż
robią. Czuja w sobie nie-
spożyte moce witalne i
gdyby tylko trafili na
właściwe zajęcie, na pew-
no pokazaliby wszystkim,
co potrafią. Są również
świetnymi organizatorami,
jednakże dopiero po godzi-
nie 13.00.

Przychylna roślina:
FORSYCJA ZWISŁA.



Rys. Waldemara Rukścia



filizanka kawy (I)

Iluzjonista bierze ze stoją-
cego na scenie stolika filiżan-
kę z podstawką (talerzykiem)



FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Czemuś...

Czemuś cała się oddała
Gdym o usta tylko prosił?
Nie skąpiłaś swego ciała
Człowiek strzelał, pan Bóg nosił...

Już nie spotkam ja się z tobą
Pod zielonym, pod jaworem
Po zmaganiach z samym sobą
I rozmowie z twym doktorem

Dwie obrączki — sto tysięcy
Skąd ja wezmę teraz na to?
Czemuś dała mi coś więcej
W to upalne, wiejskie lato...

Jan Karol O. Poeta fallustyczny. Po następnych przygodach
powstaną z pewnością kolejne wiersze.

i nalewa do niej kawy z
dzbanka — tak, aby wszyscy
dobrze to widzieli. Następnie
pyta, czy ktoś z widzów nie
zechce jej wypić. „Aha! —
mówi — widzę, że pan ma
ochotę”.

Schodzi ze sceny, idzie w
kierunku widza, ale po drodze
potyka się i, ratując się przed
upadkiem, niezdarnie macha
ręką z filiżanką. Ze środka
zamiast płynu sypie się na
przerazoną publiczność kolo-
rowe confetti.

Jest to również bardzo pro-
sta, lecz efektowna sztuka.
Kto zechce wiedzieć, jak ją
wykonać, będzie mógł o tym
przeczytać za tydzień.

FAKIR

organ jawnisty
pod redakcją
Włodzisława Jajickiego

konserwacja

Wróciwszy z garncem piwa
jalołcowego spotkała mnie
przy wejściu do budy jarmar-
cznej przykrość niepomier-
na, której anim się nawet przez
chwilę nie spodziewała. Oto
siedząca na zydlu starucha za-
żądała ponownej zapłaty za
wstęp i na nie się zdały mo-
je tłumaczenia, iż wyszedłem
był tylko na chwilę, by przy-
nieść płyn mało może szlachet-
ny, ale za to dobrze zwilżający
wyschnięte gardło. Jąłem więc
płakać i lamentować okrut-
nie głośno, wzywając na
świadka ową golutką babę, od
której dostałem przecie pienią-
dza na zakup piwa. Zjawiła
się też ona po chwili, lekko
już przyodziana, a razem z
nią kilka innych jeszcze pięk-
notek, zwabionych pewnie czy-
nionym przeze mnie hałasem.
W taki to sposób udało mi się
w końcu wejść ponownie w
progi pilnie strzeżonej twier-
dzy, a wchodząc przyrzekłem
sobie solennie w duszy, że jej
nie opuszczę, aż nie zgłębię
prawdy i w pełni nie zaspoko-
ję naturalnej przecież cieka-
wości.

Powiedziałem o tym kobie-
cie, kiedyś już wspólnie
siedzieli w kabinie, na drzew-
nianym wyrku przykrytym
słomą, wylazłą przez dziurę
podartego w strzępy przeście-
radła. Ta zaś, kończąc łożać
piwo i słysząc jakiś rabin u
wejścia, poleciała mi wleźć
pod łóżko. „Bądź cicho i pil-
nie uważaj na wszystko, co
będzie się działo — pouczała
mnie zrzucając z siebie po-
plamiony szlafrok. — Ucz się
chłopcze od starszych, abyś w
przyszłości mógł im dorów-
nać”.

Jakoż po chwili, głośno po-
bekując niczym baran na rzy-
sku, wszedł do kabiny mój
stryjo. Skuliłem się w sobie,
wstrzymując oddech, myśląc
jedynie o tym, aby mnie przy-
padkiem nie wykrył. (Cdn.)

POWIADAM

Jeśli wszystko pójdzie
zgodnie z założeniami
przed jakimś czasem planem,
za dwa tygodnie będziemy
mieli powód do kolejnego
świątowania. W tym czasie
światło dzienne ujrzy (być mo-
że) trzydziesty numer „Kon-
szachtów”. Niektórzy radzą
nam z tej okazji wypić piersi
po medale, inni wypić się na
nas, my sami pragniemy ucz-
cić zbliżający się nieuchronnie
jubileusz chwilą pogłębionej
refleksji oraz naturalnej w tej
sytuacji powagi. Jak to się
bowiem stało, że udało nam
się dotrwać od pierwszego nu-
meru aż do dzisiaj? Trzydzie-
ci numerów! Tyleż tygodni
nasyconych wyteżoną pracą,
parę setek tekstów i — nie daj
Boże! — tekścików, kilkadzie-
siąt tysięcy różnych znaków
pisarskich, nie licząc kropek
i przecinków! Nie zawsze
wszystko nam się udawało,
ale przecież osiągnięcia mamy

Wspierane na tej trudnej dro-
dze rozmową od nieczego do
rozwiniecia pisacjonalizmu.
Nadechodzi nas czasem myśl,
iż być może powinniśmy już
odejść na przedwczesną, lecz
zasłużoną, emeryturę. Inni
w ogóle nic nie zrobili i już
sobie zasłużenie wypoczywa-
ją.

O nagrodach i medalach nie
myślimy — chociaż z drugiej
znowu strony na pewno one
nam się należą. Gorzej lub
lepiej, ale zawsze wypełniali-
śmy nałożone przez siebie na
siebie obowiązki; nie było do-
tąd tygodnia, żebyśmy czego
przypadkiem nie wydrukowali,
piliśmy przeważnie w chwi-
lach wolnych od pracy i tak
dalej. Za to wszystko otrzy-
mywaliśmy dotąd pobory, a
przecież wiadomo, że pensje
dostaje się u nas za fizyczne
istnienie, nagrody — za pra-
cę. Może zatem... cóż, pożyje-
my zobaczymy, jak mawiali
starorzemcy Słowianie.

PODREDAKTOR

więc

MAŁA ENCYKLOPEDIA WIEDZY TAJEMNEJ

JOHN Mc CORNICK
(1864—1906)

Amerikanin pochodzenia irlandzkiego. W ro-
ku 1897 jeden z tygodników nowojorskich wy-
drukował jego nowelę „The Stars” („Gwiazdy”).
Autor opisał w niej wojnę, jaka wybuchła w
połowie XX stulecia między Stanami Zjedno-
czonymi i Japonią. Po kilku latach krwawych
zmagani wojnę tę zakończyła potężna bomba
zrzucona na Tokio. (Z czego? O samolotach
mało wtedy wiadano). „Ognista kula pękła
z hukiem nad miastem — pisze Mc Cornick
— Pióropusz dymu w kształcie ogromnego
grzyba zdawał się sięgać nieba, zastąpił słoń-
ce (...)”. Zwycięzcy po wkroczeniu do miasta
zastali obraz „mrozący krew w żyłach”. Nie
cieszyli się jednak długo zwycięstwem. Jakies
tajemnicze, wyzwolone przez nich siły, powo-
dowały śmiertelną chorobę, której autor nie
nazwał, a której objawy, opisane dokładnie i
ze szczegółami, bardzo przypominają znaną
dziś chorobę popromienną.

W TYM TEMACIE



wybor złotych
myśli z bardzo
ważnego
dokumentu
szczegół
wojewódzkiego

„Poprawie uległo wprawdzie
zaopatrzenie w akumulatory i
ogumienie, ale sytuacja w za-
kresie zaopatrzenia w paliwa
i asfalt jest bardzo trudna,
mimo to niezbędna jest dalsza
poprawa stanu dróg w woje-
wództwie.”

„Osiągnięcie zakładanej po-
prawy stanu środowiska na-
turalnego wymagać będzie
podniesienia dyscypliny spo-
łecznej oraz kształtowania na-
wyków w społeczeństwie.”

„Administracja państwowa,
organizacje społeczne, politycz-
ne i młodzieżowe będą wspie-
rać inicjatywy społeczne w
zakresie podejmowania czy-
nów społecznych, a także ini-
cjować — gdy tylko taka
możliwość zapewnić może
załatwienie określonej potrze-
by.”

„Mamy do spożytkowania
znaczne rezerwy zarówno w
dużej skali, jak i w zasięgu
oka i ręki. Trzeba po nie
sięgać, wyzwalając je i wyko-
rzystywać.”